



GŁOS NAUCZYCIELSKI

ROK LXXVIII

NR 46 ● 12 XI 1995 r.

CENA 1 zł/10 000 zł

Jak w Szczecinie bywa...

4

Sprawdzili się w zawodzie — rozmawiamy z absolwentami Instytutów Pedagogicznych ZNP

9

Co tydzień bliżej prawa — nasza nowa propozycja

10

PAMIĘTAJ — masz tylko tydzień na zaprenumerowanie „Głosu”

SZEPIETOWO

MAREK KOZUBAL

Po pierwszych tygodniach nauki postanowiliśmy odnotować zwykły dzień z życia szkoły. Odwiedziliśmy już szkołę podstawową przejętą przez samorząd, teraz kolej na placówkę kuratorską. Tym razem wprosililiśmy się do Szkoły Podstawowej w Szepietowie (woj. łomżyńskie), która za kilka miesięcy przejdzie pod skrzydła samorządu.

Kociarstwo

Droga prowadząca do szkoły wyłożona jest kocimi łbami — bruk jest zniszczony. Zza wysokich drzew wylania się szaro-czerwony budynek. Już na pierwszy rzut oka widać, że w placówce tej nie przelawa się

Moi rozmówcy pytani: czego się najbardziej boją — chórem odpowiadają — kotów. Ale nie zwierząt tylko starszych kolegów — szybko poprawiają się. Okazuje się, że do szepietowskiej placówki dotarła zlagodzona forma „fali”.

— Do III klasy lekcje odbywają się na parterze, później uczniowie zmieniają izby lekcyjne — przechodzą na piętro. Wtedy to starsi uczniowie — na powitanie każą im miażdżyć, czyścić buty lub parkiet. Zaczepiają kolegów w szkole lub na podwórku. Nie biją mocno — zapewnia mnie jeden z uczniów.

— To samo dzieje się z pierwszakiem. Ich też trzeba ochrzcić — muszą wiedzieć, że szkoła to nie przedszkole, a do starszych trzeba mieć

szacunek — dodaje jego kolega. To jest taka nasza szkolna tradycja. Istnieje od kilku lat. Najczęściej „ćwiczysz koty” na początku roku. Kiedyś to mocno bito, teraz dla żartu. Nikt się nie skarży. Zresztą gdyby tylko spróbował, to by dopiero dostał. Nauczyciele i rodzice wiedzą o tej tradycji — ale nic nie mogą zrobić.

Uczniowie żalą się za to na inną niedogodność. Przez cały październik mają więcej zajęć niż we wrześniu. W środy zamiast pięć mają sześć lekcji. Twierdzą, że dyrektorka pomyliła się przy układaniu planu lekcji. Zapomniała o kilku przedmiotach — teraz te zajęcia muszą odrabiać.

Rozmowę przerywa wrzask dochodzący z jednej z klas. Chłopców to nie dziwi.

— My też drzemy się na lekcji — mówią. Najbardziej chłopak, który lata po klasie i się wygłupia. To nasz najlepszy kolega. Gdy go ktoś próbuje bić, to zawsze stajemy w jego obronie.

Klepanie biedy

Do szkoły w Szepietowie uczęszcza 500 uczniów, z tego około 120 dojeżdża, ale tylko 20 jest dowożonych do placówki autobusem samorządowym, bowiem mieszkają w odległości większej niż 3 km. Placówka jest przeladowana — widać to na każdym kroku. Na izby lekcyjne przerobiono nawet pomieszczenia magazynowe. Dzieci uczą się też w piwnicy. Budynek wybudowany w 1963 roku już kilka lat temu powinien być rozbudowany — niestety brakuje na tę inwestycję pieniędzy.

O dziwo, szkoła nie jest zadłużona. Kuratorium Oświaty w Łomży na bieżąco reguluje wszystkie należności. Zakupiono już nawet węgiel na zimę. Mimo tego politykę oszczędnościową MEN widać tu na każdym kroku. Ostatni remont przeprowadzono kilka lat temu.

BEZIMIENNA

Z elewacji odpadają płyty farby, a futryny okien zżera czas i korniki. Są bowiem spróchniałe. Nad drzwiami wejściowymi wisi tabliczka: Szkoła Podstawowa w Szepietowie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie ślad po czerwonej farbie, którą zamalowano imię patrona placówki — Stanisława Kani, w latach 1980—1981 I sekretarza KC PZPR.

Obok budynku parkuje kilkadziesiąt rowerów — główny środek lokomocji tutejszych uczniów. Można też zauważyć olbrzymie trawiaste boisko sportowe oraz drewniane ławeczki. Przesiaduje na nich kilku uczniów. Czas oczekiwania na lekcję wypełniają głośną rozmową.

Wszyscy chłopcy pochodzą z Szepietowa, ale informują mnie, że ich koledzy z innych miejscowości dojeżdżają do szkoły na rowerach lub po 2 km chodzą pieszo. Tylko zimą ich rodzice decydują się na kupno biletów PKS.

— W szkole odbywają się zajęcia z gimnastyki korekcyjnej i wyrównawcze — informuje chłopak z młodszej klasy. Kółek zainteresowań chyba nie ma.

— Jest też stołówka, ale dla dzieci, których rodzice późno wracają do domu — dodaje dziewczynka. Gabinet dentystyczny i lekarski, biblioteka i świetlica. Ta ostatnia jest teraz nieczynna — pani gdzieś wyszła. Zresztą nie lubimy do niej chodzić, wolimy bawić się na podwórku, grać w „gałę”.

Okazuje się, że nie tylko boisko jest oblegane przez dzieci w czasie przerw i po lekcjach. Niezwykle atrakcyjnym miejscem zabaw jest także — oddalony o kilka metrów od budynku dół. Nie jest on zabezpieczony, po hałdach ziemi biegają dzieci — chowając się w jego zakamarkach i rzucając grudkami zaschniętego błota. Dowiaduję się, iż miał tu być kiedyś basen. Pozostał głęboki wykop, który kilkanaście lat temu wyłożono płytkami i wypełniono wodą. Do czasu, gdy nie uległ dewastacji, pływały w nim nawet ryby. Teraz po zasypianiu zostaną tam zasadzone placzące wierzby — iwę.

7



Na uroczystości rozdania nagród literackich „Głosu” królowała poezja, również w kameralnych rozmowach.

Na zdjęciu: ZDZISŁAWA KACZMAREK — zdobywczyni (ex aequo) głównej nagrody i EUGENIUSZ SZULBORSKI — laureat nagrody specjalnej.

Fot. Jan Balana



DZWONY JAK WPINANIE RÓŻY

HENRYKA WITALEWSKA

To był ożywczy strumień. Pochłonięci na co dzień kondycją materialną nauczycielskiego stanu, przygarbieni jego troskami i kłopotami, zatrzymaliśmy się na moment przed tym, co chyba jednak najważniejsze w nas i wokół nas...

To nie była tylko uroczystość rozdania nagród. Było to spotkanie, które wzbogaciło wszystkich jego uczestników. Okazało się, że również w tych niezbyt subtelnym, wypełnionych nieprzyjaźnią i agresją czasach, sztuka potrafi mieć magiczną moc i łączyć w szczególny sposób. Ze poezja może czynić cuda.

A działo się to za sprawą tegorocznych laureatów Nagrody Literackiej „Głosu Nauczycielskiego”, których gościliśmy w październikowy — a tak słoneczny — dzień. Skrzydła rosły

u ramion, gdy słuchaliśmy ich strof — w ich własnej interpretacji.

Rozpoczęli zdobywcy wyróżnień. Marek Antoszek z Woli Przemyskiej, autor tomiku „Nie mogę sięgnąć”, przeczytał wiersz pod jakże prostym tytułem — „Kościół w mojej wsi”. W naszym kościele czternastu Chrystusów upada — usłyszeliśmy po prostu. A nieco później: w naszym kościele czytelnicy konfesjonali czekają...

I sala kominkowa (w Stołecznym Centrum Edukacji Kulturalnej na Sta-

rum Mieście, gdzie właśnie odbywała się ta uroczystość) wypełniła się fluidami i emocjami zaskakujących mocy. Wszyscy — również szczególnie trzeźwi i sceptyczni wobec metafizyki i wzlotów ducha koledzy redakcyjni — znaleźliśmy się we władaniu poezji i katharsis, które ze sobą niesie. I tak już było do końca tego niezwykłego spotkania.

Przedtem jednak redaktor naczelny „Głosu” — Wojciech Sierakowski powitał wszystkich najserdeczniej i wręczył nagrody i wyróżnienia zwycięzcom czwartej już z kolei edycji naszego konkursu, a także zdobywcy nagrody specjalnej „Głosu”, przyznawanej za animowanie ruchu literackiego w środowisku pedagogów i upowszechnianie go. Otrzymał on również nagrodę Zarządu Głównego ZNP, którą wręczyła laureatowi, reprezentująca na naszym spotkaniu władze Związku, wiceprezes Bożena

Dunajska. W tym właśnie numerze (oraz najbliższym) przedstawiamy bliżej wszystkich nagrodzonych i wyróżnionych, zatrzymując się nieco dłużej przy głównych laureatach — ks. Krzysztofie Guzowskim i Zdzisławie Kaczmarek.

Toastowi za laureatów towarzyszyły liczne życzenia i gratulacje. Niestety, nie mógł uczestniczyć w tej uroczystości (przebywał bowiem w sanatorium) przewodniczący jury — dr Piotr Kuncewicz (prezes Związku Literatów Polskich), związany z naszą nagrodą od kilku już lat. Swymi refleksjami o konkursie i nagrodzonych tomikach podzielił się, przed-

5

CO PISZĄ INNI

UŁOMNY PROJEKT?

(...) W sumie projekt Komisji Konstytucyjnej nie wyczerpuje międzynarodowych zobowiązań przyjętych przez państwo polskie i stanowi cofnięcie się nie tylko w stosunku do obowiązujących nadal przepisów zawartych w rozdziale 8 małej konstytucji, ale i również cofnięcie się o ponad lat siedemdziesiąt w stosunku do okresu II wojny światowej i praw przyznawanych obywatelom w Konstytucji marcowej z 1921 roku.

(...) Brak jest określenia obowiązku państwa zapewnienia powszechnej dostępności do wykształcenia na poziomie średnim. Pięć spośród praw socjalnych przysługujących obywatelom zostało w projekcie konstytucji całkowicie pominiętych. Dotyczy to: prawa każdego do odpowiedniego poziomu życia i zadania państwa podjęcia odpowiednich kroków dla zabezpieczenia realizacji tego prawa, prawa pracobiorców do sprawiedliwego i godziwego wynagradzania, które zapewni im i ich rodzinom przyzwoity poziom życia. (Jeśli wejdzie między wrony — prof. Witold Nieciński „Wiadomości Kulturalne” nr 45/95).

POCZEKALNIE

(...) Przepisy pozwalają na tzw. montaż SKD, wyłącznie z podzespołów importowanych. Taki montaż można prowadzić w stodole bez jakichkolwiek nakładów i korzystać ze zwolnień celnych.

Jeśli pominiemy Fiata, to okazuje się, że we wszystkich krajowych montowniach pracuje niespełna 2000 osób. Nie wiem, czy minister Marek Pol tak właśnie wyobrażał sobie powstające w Polsce montownie. Nic lepszego jednak nie powstało. Wielkie firmy europejskie nie mają żadnego interesu, żeby zakładać duże fabryki po naszej stronie Odry. Dlatego niewielkie kwoty przeznaczają się na montownie, bo to są tylko poczekalnie. (Zbigniew D. Skoczek — Guliwer i 14 liliputów „Polityka” nr 44/95).

ZAPOMNIANE WOJNY

(...) Już z samego faktu, że niewiele się o nich wie, wynika trudność z policzeniem, ile z zapomnianych wojen wciąż jeszcze trwa. Departament obrony USA szacuje ich liczbę na około 30, inne obliczenia prowadzą nawet do liczby 46. Niezależnie jednak od tego, jak ustala się liczbę tych wojen, jest to liczba zasmucająca stabilna.

Typową cechą zapomnianych wojen jest ich barbarzyństwo. Wiele z nich to konflikty na niewielką skalę, toczone przy użyciu prymitywnej broni na rzadko zaludnionych obszarach. Mimo to liczba śmiertelnych ofiar jest przerażająco wysoka.

Większość tych zapomnianych wojen nie pamięta się właśnie dlatego, że nie zagrażają one niczym — poza ich uczestnikami (no i ludnością cywilną usiłującą jakoś żyć pod ich ogniem) — interesom. (Za „Forum” nr 44/95).

PAMIĘTAJ — PRZEGOTUJ!

(...) Znalazienie nadającej się do picia czystej i zdrowej wody staje się problemem ogólnokrajowym. Szczególnie w trudnej sytuacji są już dziś mieszkańcy Kujaw, Mazowsza i części Wielkopolski. Analizy przeprowadzone niedawno przez IMiGW na zlecenie KBN dowiodły, że w wodzie płynącej ze stołecznych kranów znajduje się aż 31 toksycznych substancji: fenoli, pestycydów, chlorowanych bifenyli i benzenów nie występujących w sposób naturalny w przyrodzie. Nie tylko w rejonach kłeski ekologicznej lekarze odradzają picie wody prosto z kranów — w ostrożności po przegotowaniu dłuższym niż 10 minut. Dzieciom nie powinno się jej podawać w ogóle. (Eryk Mistewicz — Trucizna z kranów „Wprost” nr 45/95).

EMOCJE GÓRĄ?

(...) Zdolność do odkładania zaspokożenia jest bodaj najważniejszą umiejętnością, tryumfem myślącego mózgu nad mózgiem impulsywnym, krótko mówiąc jest to oznaka inteligencji emocjonalnej czynnik (EQ). Badacze uważają, że ok. 90 proc. komunikowania uczuć odbywa się bez użycia słów. Psycholog z Harvardu Robert Rosenthal opracował test PONS — profil wrażliwości pozawerbalnej. I okazuje się, że ludzie uzyskujący lepszy wynik PONS odnoszą większe sukcesy w pracy i w swym życiu osobistym. Dzieci uzyskujące dobre wyniki w tym teście cieszą się większą popularnością w szkole nawet jeśli ich iloraz inteligencji (IQ) jest średni. Zdaniem kierowników wydziałów personalnych IQ zapewnia przyjęcie do pracy a EQ — awans. Pracownicy dobrze współpracujący z innymi mieli większe szanse na uzyskanie potrzebnego im w pracy współdziałania niż geniusze — samotnicy. (Nancy Gibbs — Czynniki EQ, przedruk „Forum” nr 44/95).

Opracował: WOJCIECH SIERAKOWSKI

NIEUSTANNA PRENUMERATA

Jeśli nie zdążyłeś zaprenumerować „Głosu” w Ruchu lub na poczcie — możesz uczynić to u nas. Niestety, w związku z podwyżką opłat pocztowych i my musieliśmy podnieść cenę. I tak wpłacając w IV kwartale br. na konto redakcji PBK SA III O/Warszawa nr 370015-977269-136 za jeden egzemplarz 12-stronicowy 1,15 zł a 16-stronicowy 1,30 zł (łącznie z opłatą pocztową za trzynastość numerów kwartalnie wynosi to 15,10 zł) otrzymasz kolejne numery „Głosu”. Na przekazie zaznacz — prenumerata. „Głos” przyjdzie do Ciebie pocztą.

DLACZEGO TYLKO PAPIER?

Jesteśmy nauczycielami z wykształceniem wyższym magisterskim, z przygotowaniem pedagogicznym ze szkół podstawowych i średnich, w których utworzone są klasy specjalne. Naukę mogą w nich pobierać dzieci i młodzież o lekkim stopniu upośledzenia. Ponieważ nauczanie takich dzieci wymaga specjalnych kwalifikacji, a w szkołach (głównie średnich) nie ma przeszkolonej w tym kierunku kadry postanowiliśmy się dokształcać.

Dowiedzieliśmy się w piłskim Kuratorium, że zostanie zorganizowany kurs kwalifikacyjny z oligofrenopedagogiki obejmujący 270 godzin zajęć (3 semestry). Wykłady i ćwiczenia prowadzi głównie kadra z Uniwersytetu Poznań-

KRONIKA

● 19 października odbyło się w ZG ZNP spotkanie Koła Absolwentów Instytutów Pedagogicznych ZNP, któremu przewodniczył Marian Rawa. W spotkaniu wzięli udział wiceprezes ZG ZNP Sławomir Broniarz.

● 26 października obradowało Prezydium ZG ZNP. Dyskutowano o przedłożonym przez MEN projekcie budżetu oświaty na 1996 rok, omówiono wstępne wyniki finansowe domów wczasowych i sanatoriów ZNP. Odbyło się także Zgromadzenie Wspólników Spółki „Wydawnictwa Pedagogiczne ZNP” w Kielcach.

● Wciąż trwają w ogniwach ZNP obchody jubileuszu 90-lecia Związku: 25 października Zarząd Okręgu ZNP w Legnicy zorganizował uroczystość z okazji 90-lecia ZNP i 20-lecia Okręgu z udziałem licznych gości: władz miasta, posłów, senatora. Uczestnicząca w uroczystości wiceprezes ZG ZNP Bożena Dunajska spotkała się w tym samym dniu z Zarządem Okręgu ZNP. 25 października odbyła się w Wieluniu uroczystość jubileuszowa organizowana przez Zarząd Okręgu ZNP w Sieradzu.

Wśród gości obecny był wiceprezes ZG ZNP Sławomir Broniarz. 28 października obchodzili jubileusz 90-lecia ZNP Okręg Kielecki. Uroczystość ta była połączona z obchodami Dnia Edukacji Narodowej. Wzięli w niej udział wiceprezes ZG ZNP Piotr Simbierowicz. 28 października podczas uroczystości zwią-

zanej z jubileuszem Związku Oddział ZNP w Ropczycach otrzymał sztandar ZNP. Aktu wręczenia sztandaru dokonał prezes ZG ZNP Jan Zaciura. 28 października odbyła się sesja historyczna zorganizowana przez Zarząd Oddziału ZNP Warszawa Wola. Na jej treść złożyły się m.in. wspomnienia działaczy ZNP, uczestników tajnego nauczania. Zasluzonym działaczom i najlepszym ogniskom wręczono nagrody i wyróżnienia. W sesji uczestniczyła wiceprezes ZG ZNP Bożena Dunajska.

28 października Zarząd Oddziału w Skierniewicach zorganizował uroczystość, na którą złożyły się: odsłonięcie tablicy pamiątkowej w holdzie nauczycielom tajnego nauczania, sesja popularnonaukowa poświęcona tajnemu nauczaniu oraz program muzyczny w wykonaniu chóru nauczycielskiego z Sochaczewa. Wzięli w niej udział wiceprezes ZG ZNP Sławomir Broniarz.

● 27 października członkowie Zarządu Okręgu ZNP w Katowicach oraz prezesi zarządów oddziałów, uczestniczący w szkoleniu związkowym w Jachrance, spotkali się w ZG ZNP z członkami Sekretariatu ZG ZNP, prezesem Janem Zaciurą oraz wiceprezesami Bożeną Dunajską i Sławomirem Broniarzem. W spotkaniu uczestniczyli także przedstawiciele Ministerstwa Edukacji Narodowej z wiceminister Danutą Grabowską oraz Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej. Tematyka spotkania była bardzo obszerna, obejmowała sprawy warunków funkcjonowania oświaty, noweli-

kiego z Wydziału Pedagogiki Specjalnej pod kierunkiem pana prof. W. Dyka. Wykładane przedmioty kończą się egzaminami i zaliczeniami, z niektórych przedmiotów piszemy też prace kontrolne. Dlaczego więc mimo tak ogromnego nakładu pracy z naszej strony w zamian mamy otrzymać świadectwo ukończenia kursu, a nie studium podyplomowe? Należy dodać, że ma to być świadectwo jednostronne, nawet nie wyodrębniające nazw przedmiotów, egzaminów, ocen itp. Czyż nie deprecjonuje to naszej pracy i wysiłku? Ponieważ każdy kto słyszy, że kończymy właśnie kurs wyobraża sobie, że uczestniczyliśmy parę razy w jakichś tam wykładach i otrzymaliśmy „papierek”.

Prosilibyśmy więc o zrozumienie nas i wyrażenie zgody na to byśmy otrzymali dyplom ukończenia studium, a nie kursu.

Słuchacze Kursu Kwalifikacyjnego z Oligofrenopedagogiki Wojewódzki Ośrodek Metodyczny

zacji prawa oświatowego, warunków życia nauczycieli i pracowników oświaty, wdrażania podwyżek płac. Mówiono także o problemach działalności Związku w aktualnej sytuacji. Dwudniowym szkoleniem kierował prezes Zarządu Okręgu ZNP w Katowicach Jerzy Surman.

● 27 października odbyło się w ZG ZNP spotkanie laureatów IV edycji konkursu literackiego „Głosu Nauczycielskiego” z redakcją pisma oraz członkami jury. Uczestniczyła w nim wiceprezes ZG ZNP Bożena Dunajska. W trakcie spotkania, przebiegającego w miłej, koleżeńskiejszej atmosferze, laureatom wręczono nagrody, odbyła się też prezentacja poezji nauczycieli-twórców.

● 30 października Wydawnictwa Pedagogiczne ZNP w Kielcach obchodziły 40-lecie swego istnienia. Działalność Wydawnictwa skierowana jest na niesienie pomocy merytorycznej i metodycznej nauczycielom. Wydawnictwo publikuje materiały, porad-

niki i pomoce naukowe przydatne w pracy z dziećmi i młodzieżą, są wśród nich pisma metodyczne: „Nauczanie początkowe”, „Język polski w kl. I—IV”, „Język polski w szkole średniej”. Działalnością Wydawnictwa, będącego agendą ZNP, kieruje dyrektor Ewa Moroz. Uroczystość z okazji 40-lecia stanowiąca podsumowanie dotychczasowych dokonań Wydawnictwa. Zgromadziła ona grono współpracowników, a także przedstawicieli władz przy prezes ZG ZNP Jan Zaciura.

● 30 października Komisja Trójstronna ds. Społeczno-Ekonomicznych obradowała nad projektem budżetu państwa na 1996 rok. ZNP reprezentował wiceprezes Piotr Simbierowicz. Wśród ustaleń znalazł się, zgłoszony m.in. przez ZNP, wniosek zwiększenia nakładów na naukę i oświatę.

Opracowała LUCYNA BANASZKIEWICZ

NA 90-LECIE ZNP ZAPROSILI NAS:

• Zarząd Okręgu ZNP w Tarnobrzegu — na uroczystość 90-lecia, która odbyła się 3 i 4 listopada w Zamku Sandomierskim w Sandomierzu.

• Zarząd Ogniska ZNP przy Szkole Podstawowej nr 1 w Lesku — na spotkanie z okazji jubileuszu Związku, które odbędzie się 14 listopada.

• Zarząd Okręgu ZNP w Łodzi — na uroczystość jubileuszową; odbyła się ona 6 listopada; jej uczestnicy wysłuchali m.in. koncertu w wykonaniu chóru nauczycielskiego i uczniów Społecznej Szkoły Podstawowej ZNP.

• Zarząd Okręgu ZNP w Suwałkach — na uroczystość z okazji 90-lecia, która odbędzie się 9 listopada; rozpoczęła ją msza w konkatedrze św. Aleksandra w Suwałkach.

JUBILEUSZ ZWIĄZKU

TRADYCJA JEST CHLEBEM...

W mokatowskim Klubie Nauczyciela odbyła się wystawa „Z dziejów ZNP i oświaty Mokatowa — Ursynowa i Wilanowa” zorganizowana przez Zarząd Oddziału z okazji 90-lecia ZNP. Wystawę przygotowała oddziałowa Komisja Historyczna pod kierownictwem kol. Barbary Zólkiewskiej. Uroczystego przecięcia wstęgi dokonał Jan Zaciura, prezes Zarządu Głównego ZNP.

Gromadzone skrupulatnie od wielu lat (komisja działa od 1966 r.) dokumenty, a także wypożyczone z Muzeum Szkół Siennickich eksponaty prezentują dzieje szkolnictwa polskiego w Kongresówce i w Galicji w niepodległej Polsce, w czasie okupacji hitlerowskiej i po II wojnie światowej. Wśród nich uwagę przykuwają: akt mianowania Jana Krzewniaka na nauczyciela po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Siennicy z 1871 r., świadectwo ukończenia 3-klasowej szkoły przy Seminarium z 1914 r., zeszyt ucznia z 1914/15 r., wykaz podopieczników stosowanych w szkole powszechnej we wsi Karczew z 1913 r., świadectwo ucznia z III kl. warszawskiego III Męskiego Gimnazjum Bolesława Radkiewicza z 1902 r., i wiele innych równie cennych dokumentów.

Wśród pierwszych czasopism i książek wydawanych przez naszą organizację nauczycielską wyróżniają się oryginalne egzemplarze „Głosu Nauczycielskiego” z 1918 r. i kserokopie wstępnego i pierwszego wydania z 1917 r., Kalendarz Nauczycielski z 1932 r. i 1939 r., egzemplarze „Piomyka” z 1933, 1934 i 1939 r. i wydawnictw „Naszej Księgarni”.

Bogato udokumentowana była też działalność TON ze szczególnym uwzględnieniem nauczycieli Warszawy. Wśród dokumentów tego rodzaju znajduje się praca magisterska byłej dyrektorki Klubu Nauczyciela przy ul. Odyńca 57 — Krystyny Cichowskiej pt. „Tajne nauczanie na terenie Mokatowa”.

Wśród materiałów dotyczących Mokatowa wyróżniają się prace Zdzisławy Bytnarowej (żony dyrektora SP 111, matki „Rudego”) Wandy Turowskiej (dyrektorki SP nr 115 noszącej obecnie jej imię) czy album najstarszych placówek oświatowych Mokatowa. Ursynowa i Wilanowa (dzieło naszej Komisji).

Wśród eksponatów poczesne miejsce zajmują portrety pierwszych i obecnych prezesów Zarządu Głównego, Okręgu Stołecznego i Oddziału na Mokatowie, a także praca Zygmunta Szymańskiego „Dzieje ogniska w Wilanowie” (powstało w 1916 r.) i mapa naszego terenu z zaznaczonymi ogniskami. Ogółem 114 ognisk: 48 w SP, 32 w szkołach średnich i 34 w przedszkolach.

Nie zabrakło także odznaczeń państwowych i resortowych, dyplomów, pucharów zdobytych przez Oddział i Kronik Zarządu Oddziału, Sekcji Emerytów i Rencistów oraz ognisk.

Wśród zaproszonych gości oprócz przedstawicieli władz związkowych i Sekcji Emerytów i Rencistów oraz przedstawicieli władz oświatowych i samorządowych znalazły się także córki Karola Klimka: jednego z założycieli Zrzeszenia Polskich Nauczycieli Szkół Początkowych. Nie tylko, obie panie były wzruszone tą lekcją historii i patriotyzmu. A trzeba dodać, że przygotowania do wystawy trwały wiele miesięcy przy ogromnym zaangażowaniu Komisji Historycznej (której niektórzy członkowie przekroczyli już 80, a nawet 90 lat), a także całego Zarządu i pracowników Klubu.

**ELŻBIETA MASIĄK
prezes Zarządu Oddziału
ZNP Warszawa
Mokatów-Ursynów-Wilanów**

JÓZEF SYLWESTER

W wieku 90 lat zmarł w Warszawie Józef Sylwester, honorowy obywatel miasta Skarżyska-Kamiennej, wybitny działacz oświatowy, związkowy i społeczny, żołnierz kampanii wrześniowej.

Józef Sylwester urodził się w 1905 r. w Poluchowie Wielkim, woj. tarnopolskiej. W latach 1926—28 studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim we Lwowie. Jednocześnie ukończył roczny Państwowy Kurs Nauczycielski; Wyższy Kurs Nauczycielski ukończył w Krakowie w 1937 r. Bronił Lwowa we wrześniu 1939 r. (absolwent Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty w randze podporucznika). W 1948 r. otrzymał (z Ministerstwa Oświaty) dyplom nauczyciela uprawniający do nauczania w szkołach średnich zawodowych.

W zawodzie nauczycielskim pracował przez 40 lat. Początkowo w szkołach województwa stanisławowskiego, a od 1945 r. do końca swej kariery nauczycielskiej — w Skarżysku Kamiennej. W ostatnich latach przed odejściem na emeryturę był zastępcą dyrektora ds. pedagogicznych w Technicznych Zakładach Naukowych. W czasie okupacji brał udział w tajnym nauczaniu w szkołach kresowych.

Do ZNP należał od 1929 r. Był wyróżniającym się działaczem. Był prezesem Ogniska, Oddziału, członkiem Głównego Sądu Koleżeńskiego ZG ZNP i trzykrotnie — delegatem na Zjazd Krajowy ZNP (z okręgu kieleckiego). Był także znanym działaczem społecznym. Przez 26 lat był radnym MRN i przewodniczącym Komisji Oświaty i Kultury.

Za swą oliarną pracę zawodową i społeczną został uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939 r.”, Medalem 40-lecia Polski Ludowej, Złotą Odznaką ZNP, Odznaką Tysiąclecia, Odznaką „Za zasługi dla Kielecczyzny”, Honorowym tytułem „Zasłużonego Nauczyciela PRL”, Honorowym tytułem „Zasłużonego dla rozwoju miasta Skarżyska-Kamiennej”.

Kolegę Józefa Sylwestra pożegnaliśmy na cmentarzu Warszawa-Grabowo.

**Bolesław Orlicz, przewodniczący Komisji Historycznej
Zarząd Oddziału ZNP w Skarżysku-Kamiennej**

PRZYPOMINAMY!

Prenumeratę „Głosu Nauczycielskiego” na I kwartał 1996 roku można zamawiać w jednostkach „Ruchu” tylko do 20 listopada, a w urzędach pocztowych lub w listonoszy do 25 listopada br.

Jedynie prenumerata zapewnia stały i systematyczny dostęp do informacji o tym wszystkim co najważniejsze w szkołach, gminach i ogniwach Związku.

Pamiętaj o prenumeracie „GŁOSU”

WARUNKI PRENUMERATY

1. Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są na okresy kwartalne
2. Cena prenumeraty krajowej na IV kwartał wynosi 13,00 zł.

3. Wpłaty na prenumeratę przyjmują:
 - a) jednostki kolportażowe „RUCH” SA właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora. Dostawa egzemplarzy następuje w uzgodniony sposób:
 - b) od osób lub instytucji zamieszkałych lub mających siedzibę w miejscowościach, w których nie ma jednostek kolportażowych „RUCH”, wpłaty należy wnieść na konto „RUCH” SA Oddział Warszawa w PBK XIII Oddział Warszawa 370044-1195-139-11 lub w kasach Oddziału Warszawa, ul. Towarowa 28, czynnych codziennie od poniedziałku do piątku w godz. 8.00—14.00, jeżeli cena czasopisma w prenumeracie przewyższa kwotę 1,50 (15.000) zł/egz. Dostawa w takim przypadku odbywa się pocztą zwykłą w ramach opłaconej prenumeraty, tzn. pod opaską.
4. Cena prenumeraty ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa od krajowej. Wpłaty przyjmuje „RUCH” SA Oddział Warszawa na konto w kasach Oddziału. Dostawa odbywa się pocztą zwykłą w ramach opłaconej prenumeraty, z wyjątkiem zlecenia dostawy

5. pocztą lotniczą, której koszt w pełni pokrywa zamawiający.
 6. Terminy przyjmowania wpłat na prenumeratę krajową i zagraniczną ze zleceniem dostawy za granicę od osób zamieszkałych w kraju:
 - do 20.11 — na I kwartał roku następnego
 - do 20.02 — na II kwartał roku bieżącego
 - do 20.05 — na III kwartał roku bieżącego
 - do 20.08 — na IV kwartał roku bieżącego
 7. Zlecenia na prenumeratę dewizową przyjmowane są od osób zamieszkałych za granicą, realizowane są od dowolnego numeru w danym roku kalendarzowym
 8. Informacje o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania udziela „RUCH” SA Oddział Warszawa, ul. Towarowa 28, tel. 620-10-39, 620-10-19, 620-12-71 w. 2442, 2366.
- Redakcja nie odpowiada za treść oraz skutki ogłoszeń i reklam.
Skład i łamanie komputerowe — redakcja. Kierownik fotokładu **Włodzisław Kozarski**
Druk: Interpoligrafia SA, 02-018 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/86 Zam. 932

POMYŚLEĆ DWA RAZY

W nawiązaniu do przyjętej przez Sejm RP ustawy o zmianie zakresu działania niektórych miast oraz o miejskich strefach usług publicznych, Zarząd Główny ZNP zwraca się z uprzejmą prośbą o rozważenie podczas debaty Senatu nad ww. ustawą zmiany zapisu dotyczącego obowiązkowego terminu przejścia od 1 stycznia 1996 roku zadań oświatowych określonych w art. 2 ust. 1 ustawy. Nie kwestionując ogólnych zasad przejmowania zadań oświatowych przez miasta wymienione w załączniku do ustawy, Związek Nauczycielstwa Polskiego uważa, że większość miast nie jest w stanie przygotować się w tak krótkim terminie do podjęcia obowiązków określonych w ustawie.

Przewidywane do przejścia placówki opiekuńczo-wychowawcze i resocjalizacyjne, a także pozaszkolne i ustawiczne wymagają szczególnej troski materialnej i merytorycznej ze strony państwa, której miasta w obecnej sytuacji finansowej nie są w stanie zapewnić. Związek obawia się, że miasta napotykać poważne trudności będą pochopnie likwidować lub ograniczać statutowe zadania tych placówek. Nie będą one również miały żadnych możliwości rozwijania swojej działalności i podejmowania nowych zadań określonych w ustawie o systemie oświaty.

Przedstawiając Panu Marszałkowi powyższą prośbę, wynikającą z opinii środowiska nauczycielskiego, Związek Nauczycielstwa Polskiego kieruje się przymkiem doświadczeniem związanym z przejściem przez samorządy terytorialne placówek wychowania przedszkolnego, które spowodowało masową ich likwidację. Praktyka ta może się powtórzyć w stosunku do placówek, o których mowa w art. 2 ustawy o systemie oświaty, krzywdząc dzieci najbardziej, pozbawione opieki rodzicielskiej i wymagające specjalistycznej opieki państwa.

Związek Nauczycielstwa Polskiego, znając przychylny stosunek Pana Marszałka do problemów związanych z właściwym usytuowaniem oświaty w polityce państwa, uprzejmie prosi o osobiste zainteresowanie się przedstawionym wnioskiem i wniesienie go pod obrady Senatu podczas debaty nad ww. ustawą.

dr JAN ZACIURA
prezes
Zarządu Głównego ZNP

Nawet nie przypuszczaliśmy, iż jedną naszą informacją możemy spowodować aż tyle nadziei, a z drugiej strony... zamieszania. A stało się to na skutek naszej relacji z wyjazdowego posiedzenia sejmowej komisji edukacji do Krakowa i Niepołomnic. Wówczas to w naszym sprawozdaniu poświęconym dyskusji o problemach przejmowania szkół przez samorządy podaliśmy, że minister Ryszard Czarny „poinformował także o pracach nad budżetem na 1996 r., decyzji o poprawie sytuacji szkolnictwa wyższego oraz planach uzgodnień z resortem przemysłu i telekomunikacji, aby nie „odcinały” szkół od ciepła i telefonu”. Nie sądziliśmy wówczas, że ten ostatni fragment zdania spowoduje istną lawinę telefonów.

Oto bowiem na redakcję spadła lawina pytań od dyrektorów szkół i administracji szczebla wojewódzkiego — czy te uzgodnienia, o których mówił szef resortu, już zapadły i czy w dyskusjach i targach z lokalną telekomunikacją, gazownią i elektrociepłownią można się na nie powoływać? Taka informacja dla naszych rozmówców jest ważna, bo jak się okazuje,

PROSZĘ CZekać...

partnerzy oświaty z tamtej strony właśnie chcą „odciąć” szkoły i inne placówki. Odciać dlatego, że długi tych ostatnich wciąż narastają, a wierzyciele zaczynają tracić cierpliwość. Gdyby w tej sytuacji mógł powołać się na uzgodnienia naszego szefa resortu z szefem ministerstwa przemysłu i gdyby pokazał odpowiedni tekst takiego porozumienia, to może by się zlitowali nad nami — usłyszeliśmy w jednej z dramatycznych rozmów telefonicznych.

Nie jest tajemnicą, że ten dramat trwa nie od dziś. Zadłużenie szkół kuratorskich narasta. Dłużnicy zaczynają tracić cierpliwość. W czasie wakacji niejedną szkołę „odcięto” od telefonu i dopiero w pierwszych dniach roku szkolnego przywrócono łączność. Elektrownie, ciepłownie, wodociągi, zakłady oczyszczania oraz telekomunikacji kategorycznie domagają się kompensowania zobowiązań w urzędach skarbowych. Ostrzegają też, że w razie dalszego nierealizowania należności skierują sprawy do sądów lub pozbawią szkoły prądu, wody itp., co oznacza w praktyce przerwanie nauki.

Nie są to niestety, nasze wymysły, ale alarmy dobiegające z różnych miejsc Polski. Co więcej, dochodzi nawet do sytuacji wręcz kuriozalnych. Przypomnijmy, że największym problemem jest w tej chwili z ogrzewaniem szkół, na co nie ma pieniędzy. Czasami coś ekstra določą rodzice, czasami wójt zapłaci i znajdzie się parę ton węgla. Ale zdarza się też i tak: oto do jednej ze szkół przywieziono węgiel, za który pośrednik zgodził się przyjąć zapłatę, jak to w takich sytuacjach bywa „gdzieś za miesiąc”. Uszczęśliwiony dyrektor nareszcie odsapnął. Nie na długo jednak, bo gdy na Śląsku rozpoczął się słynny strajk kolejarzy i ceny węgla natychmiast podskoczyły, wówczas dobrośliwy dotychczas pośrednik postanowił... zabrać węgiel z placu szkolnego, bo znalazł się nań inny kupiec, który zgodził się płacić za ten cenny towar znacznie więcej!

W tej sytuacji zdesperowany szef placówki alarmuje kuratorium i kogo się tylko da, żeby mu „kapnęli” choć trochę, bo inaczej węgiel zniknie mu z oczu. Albo pozostaje tylko jedno: otoczyć tę górkę nadziei na ciepło zimą wianuszkami uczniów szkoły!

Właśnie nadzieje na wyjście z takich sytuacji stworzyła wypowiedź ministra Czarnego o rozmowach z ministerstwami przemysłu i telekomunikacji. Telefony do „Głosu” sprawiły, że natychmiast „zaatakowaliśmy” z kolei my szefostwo resortu. Nie da się ukryć, że nie było to łatwe. Koniec końców, od wysokiego urzędnika resortu dowiedzieliśmy się, że rozmowy nadal trwają, pisemne ustalenia, niestety, jeszcze nie zapadły, ale wszyscy odpowiedzialni w MEN liczą na to, że prowadzone przetargi w sprawie sytuacji finansowej placówek oświaty i wychowania przyniosą jednak oczekiwane rezultaty. Póki co, liczyć da się chyba tylko na jedno — aby nie przyszła zbyt wcześnie zbyt mroźna zima.

Mamy zatem i my nadzieję, że te targi pomiędzy resortami zakończą się jednak dla szkół i placówek wreszcie pomyślnie. W końcu dotyczy to w gruncie rzeczy rachunków prowadzonych pomiędzy „prawą a lewą kieszenią” jednego i tego samego przecież państwa.

A więc, panie ministrze, panowie szefowie innych resortów, usiądźcie wreszcie do tego stołu i choćby nie wiadomo jak byłby on kanciasty, podpiszcie wreszcie długo oczekiwane porozumienie! Tym bardziej że liczą na to nie tylko sami szefowie placówek, przede wszystkim czekają na to dzieci, uczniowie, którzy może przestaną się bać nie ogrzewanych klas. Jesteście to winni!

MAŁGORZATA POMIANOWSKA

Już po raz siódmy Krajowe Stowarzyszenie Pomocy Szkole uhonorowało swoimi nagrodami młodych nauczycieli. Otrzymał je: Sylwia Ogórek ze Szkoły Podstawowej w Borui Kościelnej (woj. poznański), Maria Woźna z Zespołu Szkół Chemicznych w Poznaniu i Edyta Wujec ze Szkoły Podstawowej nr 2 im. płk. Władysława Beliny-Prądmowskiego w Janowie Lubelskim (woj. tarnobrzelskie). Przyznawane są one pedagogom z Klubu Przewodzących Szkół za nowatorskie rozwiązania wychowawcze, dydaktyczne i opiekuńcze oraz za twórcze inicjatywy dotyczące uspołecznienia szkoły i humanizacji jej pracy.

NAGRODZENI NOWATORZY

Specyfiką tego konkursu jest wiek nagrodzonych nauczycieli. Najmłodsze laureatki mają dopiero za sobą pięć, najstarsza zaś 10 lat pracy w szkole. Okazuje się też, iż pedagodzy niektórych szkół corocznie są nagradzani przez Krajowe Stowarzyszenie Pomocy Szkole. W ubiegłym roku taką nagrodę otrzymała Mirosława Chmielewska, a w tym właśnie Sylwia Ogórek — obie za nowatorskie metody nauczania integracyjnego.

Sylwia Ogórek, absolwentka oligofrenopedagogiki, jest zastępczynią koncepcją Celestyna Freineta. Stara się przenieść do swojej placówki najważniejsze elementy jego teorii. Jej zdaniem, należy korzystać z doświadczeń pedagogów — nowatorów różnych czasów. Tym bardziej że wiele obecnych problemów wychowawczych niepokoiło już ludzi od dawna i od dawna próbowano je rozwiązać.

Pani Sylwia Ogórek w swojej szkole przeprowadziła badania możliwości wprowadzenia technik Freineta, opracowała scenariusze zajęć. Przygotowała też pracownię rewalidacyjną dla dzieci upośledzonych w stopniu lekkim, którą wyposażała w wykonane przez siebie pomoce naukowe. Prowadziła otwarte zajęcia w klasie integracyjnej dla gości z Danii i Norwegii.

Kolejną laureatką, Edytą Wujec, łączy pracę ze studiami na bibliotekoznawstwie i informacji naukowej UMCS w Lublinie. Dała się poznać jako animatorka życia szkolnego, skutecznie propaguje czytelnictwo wśród uczniów i nauczycieli. W bibliotece założyła dział poświęcony patronowi „szkoły i systematycznie wzbogaca go o archiwalia i nowopozycje wydawnicze. Organizuje też imprezy artystyczne, do których samodzielnie przygotowuje choreografię, scenografię — wykorzystując efekty świetlne i fragmenty nagrań. Wraz z uczniami opracowała wiele programów muzyczno-poetyckich, które zostały przyjęte bardzo ciepło.

Równie cenioną w swoim środowisku jest Maria Woźna, nauczycielka chemii w Zespole Szkół Chemicznych w Poznaniu. W krótkim czasie zebrala już imponującą kolekcję nagród i wyróżnień. Pani Maria Woźna korzysta ze swego bogatego warsztatu pracy: zestawów pomocy do ćwiczeń w pracowniach chemicznych, testów, zbiorów zadań, programów komputerowych, które sama napisała. Opiekuje się także realizacją prac dyplomowych uczniów, wysoko ocenianych podczas egzaminów z przygotowania zawodowego. Jako wychowawczyni żywo interesuje się postępami w nauce i problemami swoich podopiecznych stosując różne, często niekon-

wencjonalne metody wychowawcze. Organizuje wycieczki przedmiotowe zajęcia w „zielonej szkole” oraz wymiane młodzieży z Niemcami. Dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego utrzymuje stałe kontakty z nauczycielami i uczniami Kerstensteiner-schule w Stuttgarcie. Poświęca swój wolny czas na prowadzenie bezpłatnych zajęć pozalekcyjnych, prowadzi też koło chemiczne i szkolne zawody chemiczne. Opracowała autorski program liceum ogólnokształcącego o profilu ochrona środowiska, który został zatwierdzony przez MEN.

— Szkoły borykają się z wieloma trudnościami, potrzebują zainteresowania, zyczliwości i społecznej pomocy. Świadomość tej potrzeby była i jest podstawą działania naszego stowarzyszenia — mówi Teresa Podolak, dyrektorka biura Krajowego Stowarzyszenia Pomocy Szkole.

W przyszłym roku Klub Przewodzących Szkół będzie obchodził jubileusz 10-lecia. Powołany bowiem został w 1986 roku, a jego celem było i jest wspieranie działalności innowacyjnej szkół przodujących, stwarzanie możliwości wymiany najlepszych doświadczeń, twórczych rozwiązań pedagogicznych i upowszechniania dorobku tych placówek. Obecnie do klubu należy 198 szkół z całego kraju. Inicjuje on m.in. nawiązywanie kontaktów pomiędzy szkołami klubowymi znajdującymi się w niedalekiej odległości od siebie. W tym roku m.in. zorganizowano konferencję w Szkole Podstawowej nr 8 w Toruniu, gdzie dyskutowano na temat „Drogi do lepszej szkoły”. Wspierała też zorganizowane przez Społeczną Szkołę Podstawową w Pultusku i grzybską matematyczne oraz IV Mistrzostwa Polski Młodzików i Kadetów w Baseballu w Kutnie. W czasie wakacji organizuje zaś obozy rehabilitacyjne dla najbardziej potrzebujących dzieci.

Przy stowarzyszeniu działa też fundusz stypendialny, który w ciągu kilku lat pomógł finansowo 275 uczniom, znajdującym się w trudnej sytuacji materialnej. Do szkół klubowych trafiają też bezpłatnie przekazywane książki dla bibliotek i uczniów, a także sprzęt i pomoce dydaktyczne — już 3 tys. szkół, nie tylko klubowych, otrzymało tego typu pomoc.

MAREK KOZUBAL

PS. Podajemy adres Krajowego Stowarzyszenia Pomocy Szkole, 02-123 Warszawa, ul. H. Korotyńskiego 26, tel. 23-66-30

Karta w Podkomisji Nadzwyczajnej (5)

CZY BĘDZIE REWOLUCJA?

Od początku dyskusji nad gruntowną nowelizacją Karty poseł Krzysztof Dołowy (UW) starał się przebić z propozycją stanowisk nauczycielskich, lub jak kto woli tytułów zawodowych. W zgłoszonej poprawce do projektu nowelizacji Karty — w pierwszym czytaniu — zaproponował ich pięć: nauczyciela stażysty; nauczyciela kontraktowego; nauczyciela; starszego nauczyciela i nauczyciela dyplomowanego. Stanowiska te określają pozycję w zawodzie według przyjętej hierarchii, a także konsekwentnie — awansowanie do wyższych szczebli w tabeli plac — jak to się wyraża w niektórych przepisach (systemu wynagradzania i innego podejścia do filozofii wynagradzania za pracę. Dotychczas zdecydowanie bardziej preferowano pogląd, że dopóki placę są tak małe, akcent położony jest wyraźnie na ekwiwalentność. Tylko w niewielkim stopniu bowiem uznawano czynnik gratyfikacyjny (co głównie wiązało się z nagrodami — owe 5 proc.).

Dotychczas wynagrodzenie składa się z dwóch części: zasadniczego i dodatków, natomiast jego wysokość uzależniona jest od poziomu wykształcenia i stażu pracy nauczyciela, a także wyników w pracy. Te podstawowe zasady skomunowały także rządowy projekt Karty zapisując jednocześnie, iż „zasady awansowania nauczycieli do wyższego szczebla wynagrodzenia zasadniczego oraz okres wyczekiwania na osiągnięcie najwyższego szczebla wynagrodzenia zasadniczego określa układ zbiorowy pracy”. Zastrzeżono jednocześnie — (w przepisach przejściowych), że do czasu zawarcia układu owe zasady awansowania będzie

określał minister edukacji w porozumieniu z ministrem pracy. (Dotychczas nauczyciel awansował co dwa lata i trudno przewidzieć czy minister edukacji zechce utrzymać ten termin — ustawa go do tego nie zobowiązuje.)

Przyjęcie przez posłów propozycji Krzysztofa Dołowego oznaczałoby małą rewolucję, zatem zapis placowy w ustawie musiałby ulec gruntownemu przereformowaniu. Ku zdumieniu samego wnioskodawcy posłowie zainteresowali się tą propozycją. Zastanawiali się, czy w związku z tym, że będzie to się wiązało z ogromnymi zmianami legislacyjnymi jest szansa, aby te propozycje zapisać już w dyskutowanej ustawie. Padły też propozycje czy nie lepiej poczekać na układ zbiorowy pracy. Wątpliwość zgłosił m.in. Mieczysław Piecka (SLD), który twierdził, że myśl jest dobra, ale jej realizacja, siłą faktów, będzie niosta ze sobą wiele komplikacji. Podobne obawy miał Sergiusz Karpiński (UP) twierdząc, że nie jesteśmy przygotowani aby wprowadzić zapisy o stanowiskach do ustawy. Ostatecznie zgodzono się, że podkomisja zawiesi swoją decyzję o przyjęciu lub odrzuceniu propozycji posła Dołowego do czasu, kiedy przedstawi on już bardziej konkretny wniosek, w którym ma zawrzeć także propozycję o warunkach jakie musi nauczyciel spełnić, aby mógł zająć dane stanowisko.

Przewodniczący podkomisji Jan Zaciura kilkakrotnie podnosił kwestię ewentualnej kolizji stopni specjalizacji zawodowych z usytuowaniem stanowisk, co mogłoby się wiązać z utratą przysługujących za nie dodatków. I otrzymał zapewnienie strony rządowej, że nie powinno być tu kolizji, i że sprawy te da się pogodzić. Notabene ową propozycję stanowisk MEN przyjął z dużym zainteresowaniem — twierdząc nawet, że jest to pomysł ponętny. Dyrektor departamentu kadr Stanisław Walicki zwrócił przy tym uwagę, że nauczyciele są w tej chwili jedną grupą zawodową w Polsce, w której system wynagradzania nie

jest oparty na hierarchii zawodowej. Posłowie zgodzili się też, że choć dla nas ta propozycja wydaje się być rewolucyjna, w Europie jest stosowana powszechnie.

W pierwszej dyskusji przypomniano też, że są to zbyt duże zmiany w projekcie ustawy, aby nie zauważyły ich związki, a wynegocjowany między stroną rządową a związkami zawodowymi zapis brzmi: zasady awansowania określi układ zbiorowy. Wątpliwe jest — zauważyli niektórzy posłowie — aby związki zawodowe zadowolili się li tylko uzgodnieniami dotyczącymi rozporządzenia określającego warunki awansowania zarówno w sensie zawodowym, jak i placowym. Nietrudno się domyślić, że dojdzie do konsensusu ze związkami w tej sprawie zajęłoby trochę czasu...

Pozostawiono zapisy obecnie obowiązującej Karty dotyczące dodatku funkcyjnego oraz dodatków za staż pracy, a także dodatków dla nauczycieli pracujących w trudnych i uciążliwych warunkach oraz w warunkach szkodliwych dla zdrowia. Rozbudowano art. 35, w którym dokładnie określono zatrudnienie nauczyciela ponad obowiązujący wymiar. Nauczyciel może być zobowiązany do pracy w godzinach ponadwymiarowych, zgodnie z posiadaną specjalizacją tylko wówczas, jeżeli realizowane jest to „koniecznością realizacji programu nauczania lub zapewnienia opieki w placówkach opiekuńczo-wychowawczych”. W tym przypadku nie jest wymagana zgoda nauczyciela, ale wymiar tygodniowy tych zajęć nie może przekroczyć 1/4 obowiązującego danego nauczyciela tygodniowego wymiaru zajęć. Przydzielenie nauczycielowi większej liczby godzin ponadwymiarowych może nastąpić wyłącznie za jego zgodą, jednak w wymiarze nie przekraczającym 1/2 obowiązującego go (tygodniowo) wymiaru zajęć.

Zdefiniowano w ustawie pojęcie godziny ponadwymiarowej — przez którą należy rozumieć przydzieloną nauczycielowi godzinę zajęć dydak-

tycznych, wychowawczych lub opiekuńczych powyżej obowiązującego tygodniowo wymiaru godzin. Zastrzeżono też, że zarówno kobiety w ciąży jak i osoby (mężczyzna lub kobieta) wychowujące dziecko do lat 4 nie wolno zatrudniać w godzinach ponadwymiarowych bez zgody zainteresowanego.

Według projektu rządowego wynagrodzenie za godziny ponadwymiarowe, przydzielone nauczycielowi w planie organizacyjnym szkoły wypłaca się według stawki osobistego zaszerogowania nauczyciela z uwzględnieniem dodatków. Ta regulacja przepisu wyraźnie określała, że ten sposób wypłacania wynagrodzenia za godziny ponadwymiarowe dotyczy wyłącznie godzin, które są w planie organizacyjnym szkoły. Oznaczało to, że m.in. nie dotyczy zastępstw doraźnych. Zwróciła na to uwagę Anna Zalewska (SLD) twierdząc, że proponowane brzmienie art. 35 pozbawia nauczycieli wynagrodzenia za przepracowane godziny doraźnych zastępstw. Przedstawiciel MEN — dyrektor Walicki utrzymywał, że uregulowanie wynagradzania za godziny doraźnych zastępstw powinno nastąpić już w układzie zbiorowym i nieco inaczej należałoby określić zasady wynagradzania za nie, gdyż, są to godziny nie w pełni efektywne i w związku z tym winny być mniej opłacane. Przeciwno takiemu podejściu zaoponowali bardzo gwałtownie zarówno Anna Zalewska jak i Mieczysław Piecka, uzasadniając dlaczego nie zgadzają się z tą argumentacją i uważają ją za błędną. Bywa — podkreślali — że te zastępstwa są trudniejsze, a zawsze są w pełni efektywne, gdyż najczęściej tak się zdarza, że nauczyciele na zastępstwach doraźnych prowadzą swój przedmiot. Aby już nie czynić żadnego zamieszania legislacyjnego zaproponowali, aby przereformować zapis o wynagrodzeniu za godziny ponadwymiarowe przydzielone nauczycielowi wypłaca się według stawki osobistego zaszerogowania z uwzględnieniem dodatków i dotyczy to wszystkich godzin ponadwymiarowych w tym zastępstw doraźnych.

TERESA KONARSKA

JUŻ NIEDŁUGO

Od wielu miesięcy pytacie nas — przyjaciele i czytelnicy, kiedy podobnie jak inne pisma, zmieni się także i nasz „Głos Nauczycielski”? Choć bowiem tradycja już szata pisma ma swoich zwolenników, to chyba czas ku temu, aby zmienić trochę stronę graficzną pisma, a może także i sam format — piszecie zarówno w listach, jak i argumentujecie w dyskusjach w terenie. Nigdy nie ukrywaliśmy, iż naszym pragnieniem jest wprowadzenie m.in. takich właśnie zmian. Ale nie tailismy także, iż to zależy od wielu czynników. Najważniejszym z nich był i jest naturalnie ten związany z finansami. To właśnie z tego powodu nie podjęliśmy ostatecznej decyzji już w ubiegłym roku, mimo że poczyniliśmy kroki organizacyjne i handlowe, które były niejako przygotowaniem do przemian pisma.

Dziś zatem miło mi poinformować przyjaciół „Głosu”, że rychno otrzymają do rąk nieco odmieniony „Głos Nauczycielski”.

Nie pora tu i miejsce na ujawnianie wszelkich szczegółów, ale warto chyba powiedzieć, iż będziemy zmierzać do formatu przyjętego przez wiele innych tygodników, technik druku, które choć droższe, to jednak popra-

wiąszatę graficzną pisma. Mamy nadzieję, że wreszcie o wiele ładniejsze będą zamieszczane na łamach „Głosu” fotografie, portrety osób „wywiadowanych”, grafiki itp. Ale to nie jest jedyna zmiana, które chcemy przy tej okazji wprowadzić.

Przed wszystkim bowiem pragniemy wzmocnić swą — „Głosową” — rolę doradcy. Zwiększy się zatem ilość porad i publicystyki prawnej, wprowadzimy nową formę recenzowania, np. podręczników szkolnych z wyborem których wielu ma kłopoty. Jest naszym zamiarem także wprowadzenie stałych felietonów, porad psychologa, pedagoga dla młodych nauczycieli. Wreszcie, dzięki współpracy z Wyższą Szkołą Pedagogiczną ZNP, pragniemy prowadzić na łamach „Głosu” coś w rodzaju cyklu wykładów otwartych.

W tych przemianach liczymy jednak przede wszystkim na Wasze głosy i opinie. W końcu przecież to Wasz „Głos Nauczycielski”.

WOJCIECH SIERAKOWSKI

Pomysł bonu edukacyjnego ma tę niezwykłą właściwość, że wydawałoby się — pogrzebany — ożywa co jakiś czas. Po raz pierwszy ujrzał światło dzienne przy okrągłym stole, stając się jednym z głównych punktów Protokołu Rozbieżności Podstolika ds. Edukacji. Ostatnio kolejną jego koncepcję zaakceptowało kilka ogólnokrajowych organizacji samorządowych. Głosi ją też w swym programie wyborczym kandydat na prezydenta Unii Wolności.

Bon edukacyjny to jeszcze jeden pomysł na sfinansowanie oświaty. Polega zaś na tym, że pieniądze miałyby być dzielone pomiędzy uczniów nie w postaci żywej gotówki, ale bonu o określonej wartości. Z tym bonem uczeń zgłaszałby się do wybranej szkoły. Twórcy tej koncepcji wysuwają jej następujące zalety: rodzice uzyskują możliwość wyboru szkoły, a od tych decyzji rodziców zależy budżet szkoły; wprowadzona zostanie zasada konkurencyjności pomiędzy szko-

łami; zrównane zostaną statusy szkolnictwa publicznego i niepublicznego. Ta koncepcja z pewnością jest korzystna dla tych miast, w których szkoły są z reguły duże i liczne. Otrzymywałyby one relatywnie więcej pieniędzy i w efekcie łatwiej byłoby im się utrzymać, a władze samorządowe dopłacałyby do nich niewielkie kwoty lub nawet nie dopłacałyby wcale. Trudno się więc dziwić, że zwolennikami tej koncepcji są głównie Unia Metropolii Polskich oraz Związek Miast Polskich.

ZMIANA STROJU

Pomysł ten ma równocześnie wiele wad. Główna — ze społecznego punktu widzenia — to ta, że prowadzi ona do upadku wielu małych szkół wiejskich, które bez znacznych dotacji (być może 5—8-krotnie przewyższających sumę wartości bonów uczniów danej szkoły) ze strony samorządów nie miałyby żadnych szans utrzymania się. A wątpliwe jest, czy samorządy zechcą aż tyle dokładać do tych szkół. Według niektórych szacunków — mogłoby wówczas „bankrutować” od 30 do 50 proc. szkół i placówek oświatowych.

Nie uwzględnia on poza tym znacznego zróżnicowania kosztów kształcenia jednego ucznia w tym samym typie szkół, w poszczególnych województwach. Różnica ta wynosi nawet 100 proc. pomiędzy školami podstawowymi województwa ełbińskiego i ostrołęckiego; 70 proc. pomiędzy liceami ogólnokształcącymi województwa ostrołęckiego i jeleniogórskiego. W województwie ostrołęckim koszt kształcenia jednego ucznia w szkole podstawowej jest o 40 proc. wyższy niż w liceum ogólnokształ-

cającym. To sprawia, że określenie jednej wartości bonu dla ucznia szkoły danego typu w zależności od jej usytuowania, np. w mieście lub na wsi — jest w praktyce nierealne.

Obok tych zasadniczych wad trzeba też wymienić możliwość fałszerstw i nadużyć. Ten pomysł oznaczałby też, skoro bon o tej samej wartości otrzymywałoby każde dziecko w wieku szkolnym, że mogłoby ono zgłosić się z nim również do szkoły niepublicznej. W ten sposób szkoły te zostałyby zrównane w zasadach finansowania z publicznymi, co byłoby dla nich znacznie korzystniejsze, niż obecnie, gdyż teraz uzyskują 50 proc. dotacji przeznaczanej na ucznia w szkole publicznej. Pociągnęłoby to za sobą prawdopodobnie przepływ części środków do szkół niepublicznych, przy czym trudno powiedzieć — jak duży. Zatem w sytuacji niezwykle niskich nakładów na oświatę koncepcja wprowadzenia bonu — z uwagi na ewentualne zwiększone dofinanso-

wanie szkół niepublicznych wydaje się co najmniej dyskusyjna. Dostrzegając te wszystkie mankamenty bonu edukacyjnego Kazimierz Marcinkiewicz, wiceminister edukacji w rządzie Hanny Suchockiej, zaproponował w marcu na konferencji „Miasta dla edukacji” wprowadzenie częściowego bonu, który nazwał „bonem placowym”. Zaznaczył przy tym, że — w innej co prawda formie, ale przy tej samej idei — został on przedstawiony w programie „Dobra i nowoczesna szkoła”.

Bon placowy w niewielkim stopniu różni się od edukacyjnego. Miałby to być przeliczeniowy fundusz plac standardowych pracowników pedagogicznych przypadających na jednego ucznia danej szkoły lub placówki. Kazimierz Marcinkiewicz opracował nawet matematyczny wzór obliczania wartości takiego bonu — średnia płaca nauczycieli mnożona przez średnią liczbę nauczycieli przypadających na standardową liczbę uczniów w oddziale.

Autor tej koncepcji przypomina, że płace nauczycieli stanowią około 80 proc. wydatków oświatowych. I tylko tę część wydatków obejmowałby bon placowy. Pozostałą część kosztów pokrywałby organ prowadzący, czyli głównie samorządy terytorialne (obecnie gminy, w przyszłości też powiaty) oraz stowarzyszenia, osoby fizyczne itp. W bardzo prosty sposób — zdaniem autora — można wówczas obliczyć niezbędne środki na pokrycie wartości bonu placowego dla samorządów terytorialnych, które otrzymywałyby je w subwencji ogólnej. Byłby to mianowicie iloczyn bonu placowe-

go i liczby uczniów. W ten sam sposób samorząd naliczałby placową część budżetu każdej szkoły, także niepublicznej. W przekonaniu autora tej koncepcji, jeśli doszłoby wówczas do „bankructwa”, to dlatego, że taka będzie wola środowiska lokalnego. Te koncepcje włączył do swego programu wyborczego kandydat UW na prezydenta, Jacek Kuroń, choć ze względu na ogólnikowość głoszonego hasła trudno powiedzieć, czy opowiada się za jej szczegółowymi rozwiązaniami. Jednak samo uwzględnienie przez niego tej koncepcji jest o tyle zrozumiałe, że członkowie Unii Wolności są najliczniej reprezentowani zarówno w Unii Metropolii Polskich, jak i w Związku Miast Polskich. Na pierwszy rzut oka pomysł bonu placowego wydaje się prosty i oczywisty. Ale już tylko moment zastanowienia ujawnia, że... zachowuje on praktycznie wszystkie wady bonu edukacyjnego, choć w założeniu miał ich unikać. Skoro bowiem aż 80 proc. kosztów nauczania jednego ucznia stanowią płace nauczycielskie (z pochodnymi), to liczba bonów zadeklarowanych w danej szkole decydującą będzie o szansach jej utrzymania się. Przy standardowej liczbie 30—35 uczniów w klasie, szkoła mająca oddziały liczące poniżej 20 uczniów będzie miała „paść”, choćby samorząd nie wiadomo ile dołożył do „rzeczówki”. Były minister edukacji wydaje się być przy tym nieświadom, że o liczebności klas na wsi (i nie tylko) decydowałyby nie tylko liczba uczniów wybierających dane szkoły, która jest zresztą zależna od zmiennej liczebności ich roczników, ale też tak prozaiczna przyczyna, jak małe sale lekcyjne w niektórych szkołach. Tak więc zaproponowana koncepcja wyraźnie faworyzuje szkoły duże, a takich więcej jest w miastach.

W dalszym też ciągu stanowi ona próbę przesunięcia części środków dla szkół niepublicznych. Takie szkoły, jak wynika z dotychczasowych doświadczeń, funkcjonują przede wszystkim w dużych miastach. Wszystko to sprawia, że także ten pomysł jest ograniczeniem szans edukacyjnych dziecka wiejskiego, zwłaszcza z miejscowości położonych z dala od większych szkół.

Bon placowy jest też dość dziwną próbą łączenia dwóch pomysłów. Z jednej strony oddania rodzicom prawa decydowania nie tylko o tym, co robią z tym bonem, ale też — czy i komu go oddadzą. Z drugiej zaś — zachowania zasady przekazywania środków na place nauczycielskie gminom. Chciałoby się więc zapytać — po co ten bon? Czy nie wystarczy dotychczasowa zasada zapisywania ucznia do szkoły (lub zdania egzaminu w przypadku szkoły średniej) przy coraz mniej formalnym traktowaniu w ostatnim okresie rejonu szkolnego? Obowiązujący obecnie algorytm naliczania środków, który uwzględnia różną liczebność klas zarówno w szkołach miejskich, jak i wiejskich, zróżnicowany poziom wykształcenia nauczycieli i inne czynniki decydujące o kosztach prowadzenia szkół w danej gminie, wyrównuje szanse dziecka wiejskiego w dostępie do oświaty. Ponadto w znacznie większym stopniu uwzględnia postulaty gmin wiejskich dotyczące naliczania subwencji oświatowej.

MALGORZATA POMIANOWSKA

PISAĆ DO WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

— Nauczycielskie kieszenie plótnem świecą, a Związek jak pomaga?

— Przychodzą koledzy i każdy pyta, czy może dostać zapomogę. Pieniądze, jakie mamy, a nie mamy wiele, idą na zasiłki statutowe i zapomogi. Przyjeliśmy zasadę, że jeśli wypłacamy zasiłek statutowy, jednocześnie przydzielamy zapomogę, żeby pomoc była istotna. Na przykład, jak nie dać rodzinie, gdzie jest kilkoro dzieci, matka nauczycielka, a ojciec bezrobotny? Od pięciu lat nikt nie pyta o imprezy kulturalne, bilety do teatru czy na koncert...

— A przecież Okręg dopłaca do organizowanych dla pracowników oświaty imprez?

— Mamy uchwałę o trzydziestoprocentowej refundacji świadczeń, dotycząca oczywiście członków Związku. Dopłacamy do nauki języków obcych, karnetów na basen, biletów na imprezy kulturalne. Wydatki te pokrywamy tylko z funduszy związkowych, gdyż fundusz socjalny jest zdecentralizowany i dysponują nim wyłącznie placówki. W ubiegłym roku mieliśmy jednak kłopoty z rozprawdzeniem karnetów na basen, bo ludziom po prostu brakowało pieniędzy.

— O ile mi wiadomo, możliwości finansowe Okręgu nie są imponujące...

— Jest nam trudno, ponieważ ciąży nad nami jeszcze okres strajku. Nauczyciele dostali wtedy ogromnie „po kieszeni”. Były nawet przypadki, że osoby pracujące w niepełnym wymiarze dopłacały! Wypłaciliśmy wiele zapomóg, a przecież działalność propagandowa też kosztowała. Zmuszeni byliśmy zaciągnąć dług w Zarządzie Głównym i teraz to nad nami wisi jak miecz Damoklesa, bo trzeba spłacać, a nie ma z czego. Widzimy konieczność powołania funduszu strajkowego, który udzielałby pomocy ludziom pokrzywdzonym restrykcyjnymi działaniami władz. Byłoby wspaniale, gdyby nigdy już nie musiało dojść do akcji strajkowej, ale zabezpieczyć się trzeba. Jesteśmy przyzwyczajeni, że mamy biedę, ale godzić się z nią też nie możemy.

— Tymczasem rok szkolny 1995/96, to kolejne oszczędności w oświacie, oznaczające m.in. zwolnienia nauczycieli...

— W momencie, kiedy wchodził ten program, kurator zorganizował spotkanie ze związkami i przedstawił nam go w formie dyscypliny budżetowej. Nie godziło to bezpośrednio w nauczycieli, nie groziły nam zwolnienia, więc w zasadzie wyraziliśmy zgodę, bo pewne oszczędności należało poczynić. Były szkoły, które rozdmuchały swoją działalność nie licząc się z finansami, a raczej z ich brakiem. Tak było w maju i czerwcu. Kurator zatwierdził arkusze organizacyjne placówek, po czym złożył rezygnację stwierdzając, że w takiej mizerii budżetowej nie jest w stanie kierować oświatą w województwie. Odbił się konkurs, przyszedł nowy kurator. Kiedy zorientował się, że potrzeby mają się nijak do możliwości, wpadł w panikę. Już w trakcie zajęć arkusze organizacyjne musiały iść do weryfikacji. Jeszcze dziś, w końcu września, trwają w niektórych szkołach zatwierdzenia i poprawki. Budzi to ogro-



wną niechęć nauczycieli i wielkie niezadowolenie nie tylko pracowników szkół. Likwiduje się godziny ponadwymiarowe, nie mówiąc już o zajęciach pozalekcyjnych i balaganie spowodowanym brakiem stałych planów. Część wydatków mają pokrywać rodzice.

— Sięganie do rodzicielskich kieszeni to sprawa wielce drażliwa...

— Właśnie, w Liceum nr 1 w Szczecinie zbuntowali się przeciw temu uczniowie i rodzice, wystosowując apel do mediów z prośbą o poparcie ich stanowiska. Prezesi ognisk podjęli 22 września solidaryzującą się z nimi uchwałę. Nie chcemy dopuścić do zawirowań wpływających niekorzystnie na tok nauczania. Musimy pisać do wszystkich świętych, przekonywać, prosić i żądać, aby dobro szkoły i uczniów pozostało celem nadrzędnym. Teraz całe odium zła spłynęło na kuratorium, a kurator Bogu ducha winien, bo przecież na dzień dobry otrzymał takie powinszowania. U nas sytuacja jest wyjątkowo trudna, nawet w porównaniu z innymi województwami, bo koledzy cały ten oszczędnościowy szok przeżyli przed wakacjami, a nam przychodzi go przeżywać na progu nowego roku szkolnego.

— Mocno spóźnione korekty arkuszy organizacyjnych to balagan w szkołach, ale także lęk — czy nie zwolnią?

— Nie, bo nie mogą, nie pozwala na to Karta. Nie można teraz tłumaczyć się artykułem 20 — to nie reorganizacja ani likwidacja placówek. Mamy zapewnienie kuratora, że nikt nie będzie zwolniony, mimo ciężkiej sytuacji. Ludzie są jednak na golusieńskich etatach, bywa, że na kombinowanych czy latanych, np. w kilku placówkach dzieje się tak także dlatego, że w tej chwili zwolnić nauczyciela, znaczy: dać mu 6-miesięczną odprawę, a na to nie ma pieniędzy. Trzeba więc znajdować metody na przetrwanie, co dzieje się ze szkodą dla uczniów, nie mówiąc już o nauczycielach. Uważam, że jest to skutek poważnego błędu na górze. Winnych należy szukać wysoko, rozpoczynając od Sejmu, który uchwalił taki a nie inny budżet, mimo że mamy naszą reprezentację parlamentarną. Ci ludzie stoją jednak pod ścianą! Piętnaście, czy nawet sześćdziesiąt osób, jeśli policzyć strictly wszystkich, nie jest w stanie zmienić tego, co uchwalił 460. Obecna atmosfera w oświacie i wokół niej jest jednak sygnałem dla tworzących kolejny budżet, żebyśmy w rok 1996 nie weszli z takimi dużymi brakami.

— Te kłopoty nie urodziły się jednak dzisiaj...

— To się ciągnie już od kilku lat — 4 tysiące etatów bez pokrycia przechodzi z roku na rok. Etaty kalkulacyjne są ile naliczone, znacznie większe jest zatrudnienie niż ich ilość. Gdyby było odwrotnie, to każda regulacja plac byłaby inna i jeszcze można by coś wygospodarować na wydatki rzeczowe. Dzisiaj możemy jedynie wyliczać, jaki procent kosztów państwowej bezpłatnej szkoły ponoszą rodzice. Ubiegły rok, to na naszym terenie 19 do 24 procent. W tym roku szacujemy, że przekroczone zostanie 30 proc.

— A jeśli z rodzicielskich kieszeni nie da się wykrobać nawet procenta?

— Są takie placówki, gdzie rodzice nie dopłacają, bo nie mogą i tam jest straszna bieda. Bywa, że brakuje na przystawki krede, nie mówiąc o takich luksusach, jak pomoce naukowe czy herbata dla nauczycieli. Szczególnie przejawia się to w gminach, które jeszcze nie przejęły szkół, a dodatkowo borykają się z dużym bezrobociem. Są też jednak szkoły wiodące, przejęte przez bogate gminy, choćby w samym Szczecinie. Tam dzieje się dużo dobrego — w ramach zadań własnych gminy wyposażają pracownię, a nawet budują sale gimnastyczne czy baseny. W takich placówkach oświatowy haracz ściągany od rodziców jest minimalny. Są i inne szkoły — tam rodzice, jeśli zyczą sobie jakiegokolwiek działalności wykraczającej poza minimum dydaktyczne, muszą to finansować.

— Czy chce pani powiedzieć, że w szkolnictwie są teraz równi i równiejsi? Dwie, niby takie same szkoły podstawowe w gminie X i Y, z których jedna ma wszystko — z basenem i nauką języków, a druga musi się ograniczać do programowego minimum, bo albo gmina biedna, albo funduszy kuratorskich nie stać...

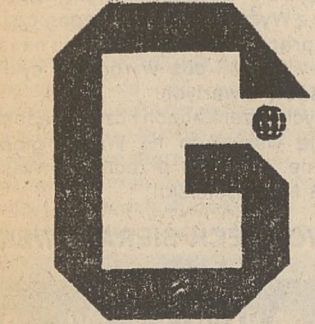
— Tak, to prawda. Mamy np. najpiękniejszą w województwie szkołę w historycznej Cedyni. Tam stają przed dylematem, kto opłaci koszty utrzymania wspaniałego budynku o ogromnej kubaturze. Gminy, która przejmie szkołę w styczniu 1996 r. w żadnym wypadku nie będzie stać na ogrzewanie, energię, bieżące remonty. Po prostu nie wiadomo co będzie z placówką, wybudowana 15 lat temu na miarę XXI wieku.

Słowem: biedna bogata szkoła w Cedyni...?

— Wybudowano kiedyś pomnik na miarę dalekiej przyszłości, a teraz po latach, nie wiadomo co z tym kosztownym fantem zrobić. Współczuję dyrektorowi, no i gminie, która biedna może nie jest, ale praktycznie wszyscy tam utrzymują się z handlu przygranicznego. Ostatnio słyszymy coraz to głośniejsze dyskusje, czy taki handel może się tam odbywać. Gdyby doszło do zakazu, to większość mieszkańców stanie się bezrobotna i cała gmina leży na obie łopatki. Już nawet nie będzie co mówić o szkole, bo ludzie po prostu nie będą mieli z czego żyć. Nasze problemy, to po prostu lęk o jutro.

MNIEJ ZDENERWOWANIA U NAUCZYCIELI

MNIEJ STRESÓW U UCZNIÓW



- ◆ poręczne
- ◆ praktyczne
- ◆ nowoczesne trwałe okładki
- ◆ terminologia z zakresu informatyki, finansów i biznesu
- ◆ zarys gramatyki
- ◆ stale aktualizowane słownictwo

SŁOWNIKI

Harald G Dictionaries

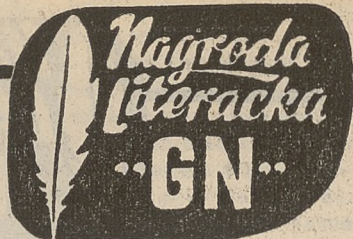
nowoczesne znakomite tanie SŁOWNIKI

W księgarniach, hurtowniach i bezpośrednio u nas

PRZEDSIĘBIORSTWO WYDAWNICZE Harald G Dictionaries

ul. Grzybowska 77 00-844 Warszawa

tel/fax 620-49-73



Nie znosi sztuczności, nie żyje według scenariusza, wciąż szuka krajobrazów malowanych zielenią sosen, ze starą strzechą w tle. Czy można żyć bez kolorów, krzyku i milczenia — pyta w swojej poezji Zdzisława Kaczmarek, laureatka tegorocznej edycji Nagrody Literackiej „Głosu Nauczycielskiego”.



NIE NAZWANE WPROST

Poruszam się między słowem a ciałem / sama sobie sterem, wagą miarą i zegarem/ kat i ofiara swych wierszy/ żyję w miejscu zwykłym/ jak wąż zmieniam skórę/ gdy nastaje pora/ jak słoniu/ chodzę umierać w ukryciu — napisała w wierszu „Autobiografia”

Od 26 lat jej życie toczy się pomiędzy Lwówkiem Wielkopolskim, w którym mieszka i Nowym Tomysłem, gdzie pracuje w szkole jako polonistka. Zadebiutowała w konkursie z okazji 200-lecia Nowego Tomysła pt. „Moje miasto”. Konkursowy wiersz „Było ich tylko ośmiu...” poświęciła pamięci osób zamordowanych przez hitlerowców w jednej z sal szkoły, w której uczy.

— To myśmy odkryli panią Zdzisławę — mówi z nieukrywana satysfakcją Czesław Krolek, dyrektor Biblioteki Miejskiej, przyjaciel i popularyzator twórczości debiutujących poetów. „Przyciśnięta do muru” musiała ujawnić „Zawartość” swojej szuflady, coś niecoś dopisać i w ten sposób powstał pierwszy, wydany przez bibliotekę, tomik poezji pani Zdzisławy pt. „Poznaj gościnę przydrożnego kamienia”.

Znalazły się w nim m.in. młodzieńcze wiersze, opiewające przyrodę, przede wszystkim krajobraz Kujaw, gdzie się urodziła. Od tego momentu pani Zdzisława rozmawiała się na nowo (po długiej przerwie) w pisaniu i postanowiła dać upust gromadzonemu dotąd emocjom i przeżyciom. Efektem tego były kolejne zbiorki poezji: „Gwiazd spadających nie liczę” (1990), „Jak najdalej od siebie” (1992), „Najwierniejszy z nieprzyjaciół” (1993), „Wyjęta z granic cienia” (1993). Właśnie te dwa ostatnie tomiki przyniosły jej Nagrodę Literacką „Głosu”.

Już w liceum w Ciechocinku odkryła w sobie potrzebę przelewania na papier myśli — początkowo były to utwory prozatorskie. Próby poetyckie przypadały na okres studiów polonistycznych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Była wtedy pod wpływem grupy poetów, do której należeli m.in.: Erwin Kruk, Adriana Szymańska, Zygmunt Flisz. Uczestniczyła w rozmaitych imprezach literackich, z których najbardziej lubiła, organizowane w Toruniu, tzw. małe poetyckie.

Przyjeżdżali na nie poeci z całego kraju. Pisane w tym czasie wiersze chowała do szuflady, gdzie przeleżały 20 lat. — Te 20 lat to był okres bezruchu pióra, a nie ciszy duszy — tłumaczy.

Po obronie dyplomu wyszła za mąż. Prowadzenie domu, wychowywanie dwójki dzieci, codzienne dojazdy do szkoły i późne powroty z ciężkimi siatkami, pochłaniały mnóstwo czasu. W wolnych chwilach sięgała po wiersze Leśmiana, które lubi za nastrój; Symborskiej — gdy odczuwała głód ironii; Twardowskiego — kiedy szukała prostoty i myśli mędrca. W oryginale czytała Jesienina i Czechowa. Sama nauczyła się języka rosyjskiego, jak mówi — na pieśniach Marka Bernesa. Urzekają ją jego melodia.

Był to także czas pierwszych doświadczeń pedagogicznych. Nie

marzyła o zawodzie nauczycielki, ale dziś nie wyobraża sobie, że mogłaby robić coś innego. Praca z zaniechaną intelektualnie i wychowawczo młodzieżą, która przychodzi do zasadniczych szkół zawodowych, nie jest łatwa. Tym bardziej cieszy każdy najmniejszy sukces. Trzeba tę młodzież po prostu polubić i jak najlepiej do niej wydobyc — i dać jej wiele z siebie. Stara się zainteresować uczniów książką, poezją, rozbudzić drzemającą w nich wrażliwość na otaczający świat.

Człowiek staje się poetą poprzez swoją wrażliwość, sposób odbierania świata, intelektualne i duchowe jego przeżywanie — mówi. — Gromadziłam w sobie różne emocje, będące odbiciem moich wzlotów i upadków — do pamięci wpisywałam każdy kamień w okolicy serca/ wszystkie dziury na wyboistej, mlecznej drodze.

Bo przecież: **Urodzeni z przypadku/ żyjemy z nawyku/ z dnia na dzień/ od pierwszego do dwudziestego/ na niby/ na pokaz/ wbrew sobie/ niewolnicy codziennie nakręcanych zegarów/ strażnicy bezsennych nocy/ bezimienni bohaterowie/ prywatnej wojny ze światem/ który zastaliśmy.**

Drożej gaz, światło, mieszkanie — mówi w innym wierszu — **coraz wyższe stają się realne koszty istnienia/ tanieją tylko bez troskie rachunki sumienia.**

Wiersze są jak dzieci, powiedział kiedyś jeden z poezjotów. Witold Różański — i jest w tym dużo prawdy — przyznaje, że jego wiersze, jak dzieci, rodzi się w bólu, potem wychowuje, aż wreszcie nadchodzi moment, gdy muszą iść między ludzi. Podobnie jest z poezją — przychodzi taki czas, kiedy niepokój duszy, słowem zapisany, musi trafić do czytelnika, szukać z nim porozumienia: trzeba ze słów jak z kamieni/ most choćby najprostszemu zbudować — przekonuje.

Rola poety jest budzenie wrażliwości, moralnego niepokoju, refleksji. Jest to niezwykle ważne szczególnie dzisiaj, gdy w zawrotnym tempie postępuje brutalizacja i komercjalizacja życia, izolacja istoty ludzkiej. Niepokoi ją malejąca wrażliwość uczniów — w swoich wypracowaniach wyznają, że nie mają żadnych marzeń. Nie dostrzegają kwitnącej koto domu brzozy ani tęczy po ulewnym deszczu, nie zauważają obok człowieka.

Stara się, aby to co ma do przekazania, było zrozumiałe i przekonujące. Nie zależy jej na zabawie słowem, zaskakiwaniu czytelnika werbalnymi figurami, ale na takim zestawieniu i doborze słów, na umiejscowieniu ich w takim kontekście, w którym uniwersalne prawdy i wartości nabierają nowej barwy i wyrazu.

Szuka wciąż odpowiedzi na pytanie: **jak zbudować katedrę aby nie zagubić Boga/ jak napisać wiersz i nie zabić słowa/.** Zmagania ze słowami — rozwichrzonymi łobuzami, zadziornymi i pyskатыmi — nie jest łatwe. — **Trzeba nauczyć postulu/ rozbrzykane postawić do kąta/ lub ugłaskać cierpliwie/ aż przyjdą na każde zawołanie/ ustawią się w zdania.**

Dąży do tego, aby wypowiedź poetycka była nie tylko szczera, ale również zwięzła i lakoniczna — **O jedną lżę za dużo, a wiersz nie udźwignie ciężaru —** twierdzi. Zależy jej na tym, aby każdy utwór poetycki miał swoją dramaturgię. A jest to możliwe tylko wtedy, gdy jest efektem silnego przeżycia, fascynacji, zauroczenia. Niewyczerpanym źródłem twórczej inspiracji są podróże, o których marzyła od dziecka, pochłonięta lekturą książek Aliny i Czesława Centkiewiczów. Marzenie spełniło się po skończeniu kursu pilotów. Odwiedziła wiele krajów tak na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Plonem tych wojaży jest tomik wierszy zatytułowany „Jak najdalej od siebie”, będący próbą ucieczki od swojej prywatności w inny świat, nieraz bardzo odległy w czasie i przestrzeni. W wierszach przemawiają znani malarze, poeci, są wątki inspirowane antykiem, trudne zakrety najnowszej historii, uniwersalizm losu ludzkiego i sztuki. Mówią o tym już same tytuły: „Przebudzenie Odysa”, „Powrót do Pompei”, „Vincent Van Gogh do brata”, „Skarga Papsusy” (cygańskiej poetki), „Erewan”, „Suliko”, „Ja, przelotny ptak” (o spotkaniu na Arbacie w okresie pierestrojki poeci Biedniakowie).

Piszę z potrzeby serca — wyznaje — nie na zamówienie. Gotowy wiersz zazwyczaj zaskakuje mnie samą, wygląda to tak, jakby to on czekał na mnie, a nie ja na niego. Ma jeszcze inne pasje — fotografowanie i szachy. Zgromadziła bogatą kolekcję albumów z wizerunkami starych drzew, porzuconych, często nie istniejących już domów, które spotyka podczas swoich długich wędrówek po polskich krajobrazach.

Od wielu lat fascynuje ją też gra w szachy (jest członkiem Klubu Szachowego ZNP w Pniewach) — ta magiczna kraina 64 pól, zaskakuje gracza jak samo życie; tu pionek może pokonać hetmana — mówi. — Gra w szachy ma coś wspólnego z tworzeniem strof — wymaga przemysłowego ruchu, tak jak poezja — każdego słowa. Duchową podporą, osobą, która mobilizuje panią Zdzisławę do pisania jest mieszkająca w Ciechocinku poeta Janusz Zernicki, twórca „Hybryd”. Od 2 lat jest ona członkiem ZLP. Od kilku lat uczestniczy w organizowanych w Poznaniu międzynarodowych spotkaniach poetyckich. Przyjeżdżają nań Bułgarzy, Litwini, Jugosłowianie, Grecy, był Libijczyk, Włoszka — ludzie mówiący po polsku i w jakiś sposób związani z naszym krajem wyjaśnia. Spotykają się też z młodzieżą szkolną w różnych miejscowościach. Dzięki tej imprezie dzieci, przede wszystkim w małych wioskach, mają bezpośredni kontakt z poetą.

Pani Zdzisława dużą radość sprawia jej spotkania z młodzieżą, szczególnie licealną, często piszącą i poszukującą różnych form artystycznego wyrażenia siebie; ona lepiej niż uczniowie innych szkół jest przygotowana do odbioru sztuki, w tym utworów lirycznych.

Poezja to słowo dodane do milczenia i wrażliwy czytelnik musi nie tyle odczytać słowo, co zrozumieć milczenie — mówi. Ma ogromną satysfakcję, kiedy tak się dzieje podczas „Biesiad Literackich” organizowanych m.in. w Bibliotece Miejskiej w Nowym Tomysłu, gdzie Zdzisława Kaczmarek ma swoich wiernych czytelników. Jedną z nich jest dyrektorka szkoły, w której uczy, pani Elżbieta Helwing.

— Znam Zdzisławę od 20 lat i wciąż odkrywam ją na nowo — mówi. — W szkole jest realistką: konkretna, rzeczowa, zaś podczas wieczorów literackich — refleksyjna, pastelowa, jakby trochę nierealna. Lubie, kiedy sama prezentuje swoje wiersze, żywe słowo jest bardziej sugestywne. Inna czytelniczka, pracownica biblioteki, pani Anna mówi, że sięga po poezję pani Zdzisławy tak jak po dobre ciastko. Szuka w nich ukojenia, dystansu do problemów związanych z egzystencją człowieka.

Cieszę się, kiedy ludzie czytają moje tomiki i odnajdują w nich swoje ulubione wiersze, które zapamiętują i cytują na spotkaniach — wyznaje poetka. Daje mi to ogromną satysfakcję. Cenię sobie też bardzo rysunki do swoich strof pani Doroty Ruteckiej. Współgrają one ze słowem i jednocześnie żyją własnym życiem, są jakby niezależnym dziełem, nie tylko ilustracją.

Wydawca pierwszych tomików Zdzisławy Kaczmarek była nowotomyska biblioteka. Dwa wydała sama — ale nie byłoby to możliwe, gdyby wydawca nie potraktował jej ulgowo i pokrył jedynie koszty własne — podkreśla. Teraz przygotowuje szósty z kolei tomik poezji o charakterze retrospektywnym.

Marzy o długiej podróży do Hiszpanii i własnym, wiejskim starym domu z duszą. Znajdzie się w nim miejsce dla tuzina kotów i psów oraz kozy — zwierzęcia niezwykle inteligentnego i wesołego. Rej będzie wodził oczywiście pupil — kot Teofil, któremu wolno wszystko — nawet zlizywać jeszcze ciepłe jak mleko, strofy ze śnieżnobiałego obrusa.

I będę wciąż pisać wiersze — mówi. Bo skoro — **nie mogę zmienić świata/ chcę tylko powiedzieć/ jestem/ chociaż nikt o mnie dzisiaj nie pytał.**

IZA KUJAWSKA
Fot. autorki

Tytuły dwóch tomików „Figury” i „Obrazy” nie są przypadkowe. Bo poezjowanie, czyli dotykanie wnętrza rzeczywistości jest wydobywaniem obrazów świadomości, które człowiek tworzy w swoim umyśle poprzez łączenie tego, czego już się nauczył, z tym, czego już doświadczył. Ale obrazy nazwane są już tylko wyrazem etapu w drodze, która już za nami. Bo im bardziej poznajemy rzeczywistość, tym bardziej te obrazy poszerzają się i tym istotniejsza staje się potrzeba ciągłego samorozwoju — credo filozofii życia i poezji księdza Krzysztofa Guzowskiego.

DROGI NAS RODZĄ...

dojrzejawia uśmiechy / dla naszych bliźnich / śliczki wydeplane / pozostają wierne jak pies / a my / odchodzimy odchodzimy

— to jeden z obrazów filozofii życia księdza Krzysztofa Guzowskiego w wierszu „Ruch”. Słowa matka, las, bóg — wywołują w naszej świadomości nie tylko samo pojęcie, ale jakiś obraz. Z upływem czasu i doświadczeń obraz nabiera coraz więcej treści i staje się streszczeniem historii życia — tego wszystkiego, czego człowiek się uczy, dzieciństwa, miejsc spotkań, przeżyć, tragedii. A więc obrazy świadomości są czymś więcej niż obrazy rzeczywistości — powiada ksiądz i odwołuje się do prof. Bartnika, twórcy polskiego personalizmu, który uświadomił mi, że obrazy czy figury na zewnątrz są czymś innym niż obrazy tych samych przedmiotów w naszej świadomości. Jednak wielu ludzi żyje w niewoli własnych obrazów czy wyobrażeń i wówczas nie tyle poznają rzeczywistość, co tylko rozpoznają i roztrząsają to, co już jest w ich świadomości. Zatrzymali się na jakimś etapie. Prof. Bartnik uświadomił mi — mówi ksiądz Krzysztof — że człowiek nie powinien się skupiać przez całe życie tylko na jednym doświadczeniu, jednym systemie filozoficznym i nie tylko roz mawiać z osobami, które mają ten sam pogląd, sposób myślenia — bo wówczas porusza się w bardzo bez piecznym, ale wąskim kręgu, w gruncie rzeczy jest nieszczęśliwy, bo się żyje pojęciem przeszłym.

Czy ta myśl odpowiada jego metaforze z tytułowego wiersza „Obraz” **żeby nie zamknięto / Księgi Rodzaju na klucz dogmatu?**

Tak. Księga Rodzaju jest o początku świata, a to oznacza, że po pierwszym akcie stworzenia następuje roz

wój przede wszystkim człowieka. Oczywiście w swojej istocie, naturze człowiek zawsze będzie ten sam, za wsze choroba będzie niszczyła, osiabiła jego wolę, zawsze kamień będzie ranił, woda gasiła pragnienie i zawsze człowiek będzie otwarty na drugą osobę. Ale dzisiaj coraz bardziej do ludzi dochodzi to, że w rozwoju tej świadomości czy samoświadomości inaczej oceniają siebie i zjawiska. Szczególnie widoczne jest to w poznaniu Boga. Dzisiaj odkrywa się na nowo opowiadania księdza Guzowskiego — że Chrystus nie jest prawdą z przeszłości, bo historia to nie tylko przeszłość ale także teraźniejszość i przyszłość. Czyli, cały ten proces, w którym rozwija się człowiek, określa swoje miejsce w świecie, przyspiesza dążenia do określonego celu.

Przecież nie tylko rozwijał się w przeszłości, ale dzięki temu, że patrzy w przyszłość, stara się w teraźniejszości odnaleźć swoją drogę. Dogmat zaś jest definicją, punktem wyjścia bardzo koniecznym, ale tylko wstępem w poznaniu siebie i swojej wiary. Stwarzanie siebie jest więc procesem ciągłym, stajemy się inni, tak jak ludzkość na świecie, dlatego „klucz dogmatu” jest tego rozwoju zaprzeczeniem.

No a powrót do domu. **Kocham dom w którym mieszkasz / i czterolistną koniczynę / którą karmisz / marzenia bydła,**

tak często przywoływany przez krytyków motyw księdza twórczości — przecież jest powrotem do przeszłości... Nie, to tęsknota za przyszłością. Tęsknota za domem jest

DZWONY JAK WPINANIE RÓŻY

CD ZE STR. 1

stawiając zarazem — w myśl strawę stowanego powiedzenia starożytnych: „poetis omnia licet” — oryginalną „syntezę pięciu wierszy” nagrodzonych poetów — wiceprzewodniczący jury, prof. Wojciech J. Podgórski.

Swoisty koncert laureatów trwał tymczasem dalej. W szczególnym skupieniu wysłuchaliśmy pełnego prostoty i tak na pozór pogodnego „Listu pożegnania” księdza Guzowskiego, dedykowanego nieżyjącej siostrze (z którego właśnie za czerpnęłam tytuł)

Zdzisława Kaczmarek zaintrygowała i zaskoczyła nas zarazem „Modlitwą niewierzącego” z tomiku pod przekornym tytułem „Najwierniejszy z nieprzyjaciół”, w którym pyta m.in.: **„plak czy przestanie być plakiem, bo nie wymawiam jego nazwy?”**

Wersety liryczne przepływały się z refleksjami o miejscu poezji we współczesnym świecie. Niektórzy wątpili, czy rzeczywiście potrzebuje on poezji, inni natomiast przekonwali, że i w życiu zwyczajnego człowieka, w nas wszystkich, drzemie, choć często głęboko ukryta i nie zawsze

uświadamiana, potrzeba piękna i sztuki. Rozmawialiśmy również o tym, jak twórczość i ekspresja poetycka nauczyciela wpływa na charakter i temperaturę jego kontaktu z młodzieżą, i na jej wrażliwość.

I były też wyróżnienia podnoszące nas, redaktorów i publicystów „Głosu”, na ducha. Wyróżniona za tomik „Kapliczka Brata Alberta”, w którym „Izy słońca” rozmywają wszelkie produkcje — **Sławomir Rudnicki** powiedział, że to właśnie fakt iż w wakacje 1988 roku „Głos Nauczycielski” zamieścił jego wiersz, zadecydował w niemalym stopniu o tym, że miał odwagę pisać dalej i podjąć ryzyko bycia poetą. Marek Antosz wyznał, że obok nagrody imienia Stanisława Piętaka, szczególnie ceni właśnie naszą **Beata Poczwardowska-Renda**, uho norowana wyróżnieniem najmłodsza, iż to, że zauważony przez jury tomik powstał i ukazał się w druku, to w znacznej mierze zasługa dobrego ducha nauczycieli piszących — Antoniego Cybulskiego. A — przypomina

pan Cybulski z Włocławka jest laureatem (sprzed dwu lat) nagrody

specjalnej „Głosu” właśnie za animowanie ruchu literackiego w środowisku pedagogów.

Niewątpliwie rację ma ks. Krzysztof Guzowski, zauważając w jednym ze swoich wierszy: **„człowiek potrzebuje wyspy, żeby narodzić się na nowo. Człowiek potrzebuje dalekich mórz aby móc zeglować...”** Jak się okazuje taka wyspa może też być niekiedy spotkanie z ciekawymi osobowościami twórczymi i — żeby odwołać się do niewątpliwie patetycznego, ale koniecznego tu określenia — człowieczy mi.

Tym większa dla nas radość, że odbywająca się w 90-lecie Związku Nauczycielstwa Polskiego uroczystość wręczenia nagród literackich „Głosu” zgromadziła takie właśnie osobowości. Może więc niepotrzebnie się martwimy, że etos stanu nauczycielskiego to już tylko przeszłość?

HENRYKA WITALEWSKA

POECI

NASZEJ WSPÓŁCZESNOŚCI

Prof. WOJCIECH J. PODGÓRSKI,
wiceprzewodniczący jury

Nagroda Literacka „Głosu Nauczycielskiego” została podzielona między poetów — nauczycieli i wychowawców. Z lawiny tomików, których liczba przekroczyła najniższe oczekiwania jury (ponad 70), wyszliśmy pokrzepieni słowem poetyckim.

Otwieram teraz na przypadkowej stronie tomiki Zdzisławy Kaczmarek, księdza Krzysztofa Guzowskiego, Beaty Poczwardowskiej-Rendy, Sławomira Rudnickiego, Marka Antosza. Otwieram — i ogarnia mnie strumień liryki. Osobistej i uniwersalnej. Strumień poezji żywej naszego dnia powszedniego, zaczynanego — jak drzewiej bywało — modlitwą i chlebem, wypełnionego naszą przyziemnością, z którą gotowi jesteśmy się identyfikować, biorąc część winy na siebie. Warto w tym miejscu przypomnieć refleksję wybitnego poety naszych czasów, Stanisława Grochowiaka: „Nie ma poezji nowoczesnej — poezja jest zawsze w s p ó ł c z e s n a”. Toteż gdybym miał uzasadnić nasz wybór, podkreśliłbym tę właśnie cechę: wyrazistą obecność poetów wśród nas. Jeśli to przystąpienie ze Słowem — wiedzą o nim wszystko lub prawie wszystko. Jeżeli terapia — to spontaniczna i bezinteresowna. Jeśli to pasja twórcza — są bogatsi wewnątrz. Jeśli to jest służba, trzeba się zgodzić, że mówią również za nas. Mówią prawdę, często z prawioną goryczą. Stają się moralistami XX wieku — bez taniego moralizowania.

Nie wierzę w osamotnienie i niezrozumienie poetów. Poezja współczesna już dawno zesłała z koturnów, nie jest zbyt wymagająca w lekturze. Poeci awangardowi rozproszyli resztki mgły formalistycznych omamień. Język poetycki jako doskona-

Isza, piękniejsza ścieżka polszczyzny — praktycznie stracił swą odrębność. Bo jeśli się zgodzimy z odkryciem Edwarda Stachury, iż wszystko jest poezją, znaczy to właśnie tyle, że język przestał być miarą poetyckości. Otwieram więc tomiki laureatów. U schyłku stulecia „szumów, zlepow i ciągów” wymowne wydaje mi się spostrzeżenie Zdzisławy Kaczmarek w jej „Wierszu bardzo prozaicznym” (z tomu „Wyjęta z granic cienia”, Poznań 1993). I dość łatwo, proszę państwa, możemy rozpoznać się w tłumie, w wierszu księdza Krzysztofa Guzowskiego „Na ulicy”. Odwieczny dylemat człowieka — przemijanie — wymaga odwiecznej formuły apostrofy (Beata Poczwardowska-Renda: „Co ja mam ci do zaferowania, życie ty moje...”). Łęki ludzkie Marek Antosz nazywa „chorobą życia” („Niech słońce wybuchą”). Wtedy można już odpowiedzieć na pytanie tak stare jak ona sama: „Po to jest poezja, / aby wszystko, co najdroższe, / objąć i mocno przytulić” (Sławomir Rudnicki: „Poezja”). Choćby ów uścisk trwał tylko chwilę.

Starożytni byli gotowi usprawiedliwiać każdy pomysł twórczy, mówiąc: *Poetis omnia licet* — poetom wszystko wolno. Jeżeli im wszystko, to ile wolno mnie, jurorowi? Oto moja synteza pięciu dziesiąt, dopuszczalna tylko raz, tylko dzisiaj: niech Laureaci mi to wybaczą...

**Drożej gaz
światło
mieszkanie
Tanieją tylko bieżące
rachunki sumienia
Na ulicy spotkasz takich
co to
ani srebrny plak
ani nagi pieniążek**

ani muza o odstających
uszach
ani gburowaty krokodyl
znad Nilu
Co ja mam ci
do zaferowania
życie ty moje
byś zostało ze mną
Choroba życia
trwa we mnie w upale
porasta mnie trawa

zasypuje siano
chory na życie
zasypiam
niech słońce wybuchą
Po to jest poezja
aby wszystko co najdroższe
objąć i mocno przytulić
Jeszcze raz gratuluję sukcesu Zwycięzcom — czekam na nowe wiersze Zwycięzonych. Może w przyszłej rywalizacji uśmiechnie się do nich Poezja?

**WOJCIECH
SIERAKOWSKI,**
red. naczelny „Głosu”

To wzruszające móc podziękować i spotkać się z Wami, którzy, prócz codziennej pracy poświęcacie się jeszcze poetyckiemu słowu. Dziś, gdy otoczeni jesteśmy pośpiechem i popularnością, to jest wartość bodaj największa. Chylę przed Wami czoło.

Jednocześnie cieszę się ogromnie, że tak pięknie zaowocowały Wasze — twórców — pomysły i propozycje sprzed 6 lat. Bo przecież Nagroda Literacka „Głosu Nauczycielskiego” zrodziła się właśnie pośród grona nauczycieli — członków klubów literackich. Pomysłodawcą tego konkursu był szef Klubu lubelskiego Janusz Kawalko, a ówczesny szef „Głosu” — Zbigniew Pawłowski — urzeczywi-

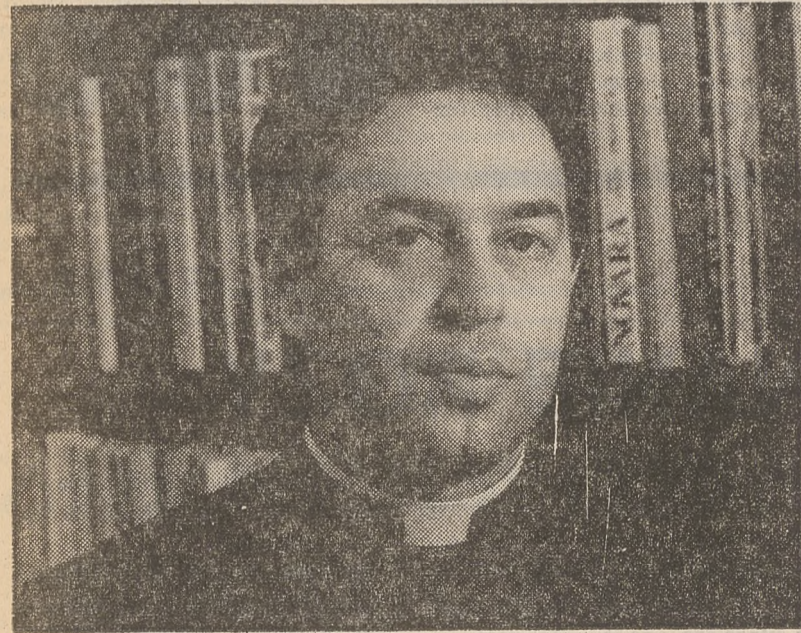
stnił ten pomysł. Działo się to w 1989 roku. Nam — dziennikarzom pozostało jedynie nadać kształt organizacyjny tamtej idei. Naturalnie było nam o tyle łatwiej, że przecież już ponad ćwierć wieku trwa ów flirt literatów z „Glosem”, a który na naszych łamach przybrał imię „Literackiego Głosu Nauczycielskiego”. Jeżeli „Głos” mógłby sobie przypisywać jakieś zasługi w tym, że krąg literatów, poetów związanych ze szkołą, edukacją wciąż rośnie, to byłibyśmy naprawdę szczęśliwi.

Nasza tegoroczna, czwarta już kolekcja edycji Nagrody Literackiej ma jednak jeszcze jedną szczególną wartość. Bo przecież przypadła na czas jubileuszu 90-lecia ZNP. Myślę, że pięknie się to połączyło i stanowić będzie dobry prognostyk na co najmniej następne 90 lat Nagrody Literackiej „Głosu Nauczycielskiego”.



Zdjęcie rodzinne laureatów i jurorów

Fot. Jan Balana



DROGI NAS RODZĄ... CD ZE STR. 5

jedynie powrotem do tego, co było najpiękniejsze i co nigdy nie traci swojej wartości. Dom w moim życiu to obraz ładu, życia się z przyrodą i szacunku do siebie. Ale nie tęsknię za przeszłością, chcę w przyszłości mieć to, co było piękne i co budowało piękną stronę mojego życia... Moje powroty są po to, żeby wziąć kromkę chleba i iść dalej, bo „uczyniwszy na wieki wybór, każ-

dej chwili wybierać muszę” — ksiądz Guzowski cytuje tu Jerzego Lieberta, który także przyjął filozofię wiary i działania.

Moi rodzice są prości, ale dali mi mądrość życiową i mądrość wiary — jednak na chwilę ksiądz Krzysztof wraca do przeszłości. Moja droga życia wyznaczona była ich dwoma wskazówkami. Pamiętaj — mówili — Pan Bóg jeszcze nikogo nie zawiódł, a ty do wszystkiego musisz dochodzić sam. Chodziło w istocie o to, by mieć autorytet i punkt oparcia w swoim poszukiwaniu.

bez tego człowiek nie może się rozwijać.

Podstawą jego filozofii — a tym samym poezji — jest Ewangelia, a zwłaszcza listy św. Pawła. Potem przyszło teoretyzowanie, właśnie poprzez nazywanie obrazów, doświadczenia. Pierwszy tomik poezji — „Figury” — powstał w ciągu pięciu lat, wiersze ksiądz Krzysztof zaczął gromadzić zaraz po konkursie w 1982 roku, w zamojskim Domu Kultury, gdzie istniała grupa poetycka „Zamoście”. Wtedy otrzymał drugą nagrodę, a pan Zadura, jeden z członków jury, zwrócił uwagę na jego specyficzną poetykę i zachęcał do twórczości. Wówczas jeszcze miał wątpliwości, czy rzeczywiście jest poetą, ale już pochłaniała go poezja współczesna z pytaniami odnoszącymi się do samego siebie, do celu swojego życia i do sensu świata. Pytanie — dlaczego — pojawiało się coraz częściej — odpowiada ksiądz-poeta. Studia filozoficzne w Rzymie pogłębiły jego filozofię życia, ale także zmieniły widzenie wielu spraw. Personalizm, który jest podstawą jego twórczości, jest zakorzeniony w każdym — twierdzi. To wrażliwość na swoim punkcie, pragnienie bycia wartościowym, to znaczy szukania wartości w sobie i wokół siebie. Natomiast personalizm filozoficzny, teoretyczny pomaga poznawać świat tak, żeby tego pragnienia wartości nic nie zmąciło. Zatem system filozoficzny jest tylko narzędziem do wydobycia formy z siebie.

Dzieli poezję na dwa rodzaje — tę, która powstaje w wyniku doboru pięknych słów, i tę — jemu bliższą — którą polega na wydobyciu słów z rzeczywistości, dotykaniu wnętrza, nazywania tajem-

nic. Potem tajemnice raz nazwane przestają być tajemnicami — wtedy poezja staje się obrazem mnie samego i pomaga mi żyć — odpowiada. Poeta jest żebrakiem głębi, a rzeczywistość posiada swoją głębię. Ksiądz przyznaje, że wiele osób zna go poprzez jego poezję, a nie poprzez pracę kapłańską. Pierwsza była poezja, przemówiła do nich jakimś wierszem, przenosiła, sformułowaniem, w którym odnaleźli siebie. A jeżeli poezja jest nazywaniem rzeczywistości, docieraniem do jej głębi, to może stać się pomocna innym, bo słowo posiada wartość:

słowo — żebrak prawdy / oko — żebrak obrazu / poeta — żebrak głębi / zdanie — żebrak kropki / koniec — echo początku
definiuje to tak prosto i tak precyzyjnie w wierszu „Definicja”. A także cyklu „Wyspy”

nasze słowo budowane przez fale / większe jest niż cała mowa morza
Jesteśmy „wyspą”, czymś niepowtarzalnym — morze, czyli świat, rzeczywistość nie miałyby wartości, gdybyśmy nie byli tą świadomą, myślącą wyspą — opowiada poeta kolejnym wierszem:

my jak wyspy Boże / nauczeni żyć z głębiną / i słońcem na czole
Dużo nauczyłem się dzięki poezji — wyznaje — może dlatego, że staram się w jednym czasie tworzyć na dwóch poziomach — nazywać to, co dzieje się na zewnątrz i to, co dzieje się pod wpływem tej rzeczywistości we mnie. Już dzisiaj nie mam tych pierwszych lęków twórczości — czy to już poezja, czy jeszcze nie — dodaje. Dziś rośnie stos papierów, metafor, zapisanych myśli — by później popracować nad formą, wyeliminować zbędne

słowa, szlifować te myśli tak, by były jasne i jednoznaczne. Bo rzeczy nie tylko w pięknie, grze słów, ale przede wszystkim w ich sensie i świadomości tego co się chce powiedzieć, czemu to ma służyć... Obraz siebie wyraził poprzez wiersz „Guzik”.

Za dużo przyjmuje na siebie / nie potrafi oderwać się od własnych spraw / rozczuła się nad każdym zapięciem i przypięciem / czasem chciałby odejść na bok, odpocząć / Gdyby zszedł na ziemię / nie byłby sobą / powiedziane raz tak — ciągnie go za ucho. / Kiedyś jednak dopnie swego.

Na co dzień Krzysztof Guzowski uczy młodzież katechezy w Technikum Elektrycznym w Zamościu, katechetów — w Kolegium Teologicznym, księży — w Seminarium Duchownym. Ale uczył też języka polskiego w wiejskiej szkole podstawowej w Wasylowie Wielkim. Te doświadczenia sprawiają, że zawód pedagoga rozumie jako wybiegający poza sam obowiązek przekazywania wiadomości. Każdy uczący musi mieć świadomość tego, że mówi do konkretnych osób — a z tego wynika dobór konkretnych treści i form — odpowiada indagowany o tę stronę życia. Zeby uczyć, trzeba mieć odwagę wychowywać, czyli wiązać wiedzę z życiem — odejście od tego dwustronnego procesu uznaje za wielki błąd polskiej szkoły. Współczesna młodzież żyje w trudnych czasach i nie potrafi jeszcze rozwiązać wielu swoich problemów — mówienie tylko o tym, że mamy trudną młodzież jest zbytnim uproszczeniem. Kiedy zwracam się do moich uczniów po imieniu — to stają się inni, wrażliwi i uważni. Bo nazywanie, to nadawanie osobie wartości — i moi uczni-

wie to czują. W wychowaniu nie można zakładać porażki — dodaje ksiądz — nawet w rozbitej klasie znajduje się kilka osób, które ja ożywią i z którymi można zacząć dialog. Szkoda, że skończyło się wychowanie poprzez teatry szkolne, kola recytatorskie, warsztaty literackie, chór — czyli twórczość, klucz do wzbogacania osobowości — dodaje. — Człowiek musi mieć sytuację, środowisko, okoliczności, które pomagają mu wiązać teorie z praktyką, przygotowują do tego, żeby myśleć o swojej przyszłości. A szkoła może stworzyć takie warunki, być macierzą — ważnym etapem życia. Czasami wydaje mi się, że jako pedagog i katecheta bardziej kocha uczniów, niż ich rodzice. Bo stara się przede wszystkim ich słuchać, rozumieć i tłumaczyć te wszystkie liczne egzystencjalne problemy, które ich przytłaczają. Mówi im, żeby nie byli bierni, stwarzali swoje życie, szukali swojego miejsca i żeby w tym nie zatrzymywali się, a podejmowali trud przekraczania kolejnych progów. I tutaj pomaga mam jego poezja, którą oni znają.

Co planuje dalej? Myślę o kolejnym zbiorze pod tytułem „Oko” lub „Imiona” — odpowiada. Chciałbym odwrócić ten dotychczasowy porządek w moich wierszach — od rzeczywistości do człowieka i przedstawić swoje podejście do rzeczywistości poprzez nadawanie imienia czemuś, z czym jestem bardzo związany emocjonalnie i duchowo. Chciałbym mieć coś do powiedzenia w filozofii personalistycznej no i nie zatrzymać się, bo **pewne jest tylko szukanie.**

LIDIA JASTRZĘBSKA
Fot. A. Szumowski

— Zaczęły się bowiem walić ściany. Część środków otrzymaliśmy z kuratorium oświaty, część z samorządu, wykorzystaliśmy też pieniądze społeczne — zbierane przez rodziców na rozbudowę szkoły. Dzięki temu udało się wyremontować zaplecze sali gimnastycznej — informuje dyrektorka Hanna Grzybek.

Nie ma jednak pieniędzy za pomoce dydaktyczne. — Kiedyś to były dobre czasy — wzdycha Helena Markowska, nauczycielka języka rosyjskiego. Pomoce dydaktyczne szkoła dostawała z rozdzielnika, a teraz nie ma na nic. Niedawno koleżanka kupowała tekturowe literki alfabetu dla klasy I — zapłaciła 1 mln starych złotych. Podstawowe odczynniki chemiczne do nauki chemii kosztują 5 mln zł. Kogo na to stać? Z powodu braku pomocy dydaktycznych dzieci z młodszych klas nudzą się na lekcjach. Nawet najlepszy nauczyciel nie przeskoczy pewnych, niezależnych od niego ograniczeń.

Zresztą trudno mówić o normalnym funkcjonowaniu placówki, gdy w ramach oszczędności zagęszcza się klasy.

— W zeszłym roku połączono dwa oddziały piątej klasy, a w tym zlikwidowano oddział klasy pierwszej. Nauka w klasach 32—35-osobowych, wygląda niezbyt ciekawie — mówi Helena Markowska. W takiej masie uczniów trudno dotrzeć do poszczególnego dziecka. Słabsze giną z pola widzenia nauczyciela. Tymczasem ciągle nam się powtarza, iż należy zindywidualizować podejście do ucznia. Jak to zrobić w takich warunkach?

W szepietowskiej placówce nie ma też co marzyć o zajęciach pozalekcyjnych. Prowadzone są jedynie zajęcia fakultatywne przygotowujące uczniów do egzaminów wstępnych oraz konkursów przedmiotowych. Nauczyciele nie dostają za nie ani grosza.

O mizerii finansowej świadczy też obraz regałów w bibliotece. Są one wypłnione szarymi, wysłużonymi książkami. Brakuje lektur, a nie ma pieniędzy na ich uzupełnienie.

— Książki są stare, zniszczone, nadające się do wycofania. Od dwóch lat nic nie kupiono — mówi bibliotekarka Irena Wysocka. Największe braki obejmują książki dla klas nauczania początkowego. Obecnie na jeden oddział potrzeba po 10 lektur jednego autora, a jest tylko trzy. Aby uzupełnić braki musiałabym otrzymać co najmniej kilkadziesiąt milionów złotych.

Uczniowie i nauczyciele chwalą się jednak tym, iż w ich placówce rozwiązano problem zaopatrzenia w podręczniki. Po prostu nauczyciele

po konsultacjach z metodykami, wybierają ich zdaniem najwartościowsze pozycje. Szkoła je zamawia, a dzieci kupują na kiermaszu w bibliotece. Nie muszą więc wydawać pieniędzy na dojazdy do miejskich księgarń.

— Rodziców jednak denerwują ceny podręczników — oscylujące w granicach 100 tys. zł za egzemplarz. Nie są też zadowoleni z tego, że podręczników do jednego przedmiotu jest kilka. Kiedyś książki te były przekazywane młodszemu rodzeństwu, a teraz stają się po prostu bezużyteczne — dodaje nauczycielka matematyki.

Jak większość placówek i szepietowska szkoła boryka się z niedostatkiem nauczycieli języków obcych. W klasach VII i VIII odbywają się lekcje języka angielskiego. Nie wiadomo jednak czy będą kontynuowane w przyszłym roku, bowiem nauczycielka tego przedmiotu przechodzi do pracy w liceum. Pani Hanna Grzybek z chęcią zatrudniłaby też nauczycieli przedmiotów artystycznych — plastyki i muzyki. Ten ostatni nie mógłby jednak uczyć dzieci gry na instrumencie.

BEZIMIENNA

tach — bowiem szkoła takowych nie posiada.

— Może chociaż, rozspiewałby naszą młodzież — rozmarza się zastępca dyrektora szkoły.

Szkoła jednak pomimo tych niedostatków próbuje sobie jakoś radzić, czyli zarabiać pieniądze. Dzieci sadzą las, zbierają makulaturę, dyrektorka liczy też na prowizję z PZU. Sala gimnastyczna wynajmowana jest odpłatnie na zajęcia sekcji karate odbywającą się w niej też dyskoteka — za wejście płać jedynie osoby spoza szkoły. Co miesiąc 700 tys. starych złotych do kasy szkoły odprowadza też agent sklepiku.

— To jednak kropla w morzu potrzeb — słyszą od nauczycieli. Większość tych środków przeznaczanych jest na zakupy nagród dla dzieci. Nie otrzymujemy jednak pieniędzy na środki czystości — miesięcznie trzeba na nie wydać 5 mln starych złotych.

W stołówce zorganizowane jest dożywianie. Z dwudaniowych obiadów korzysta 80 uczniów — z tego trzynaście otrzymuje dofinansowanie z gminnego ośrodka pomocy społecznej.

Gdy oglądam kuchnię, stołówkę i izbę lekcyjną, które znajdują się w piwnicy szkoły zadziwia mnie uwaga pani dyrektorki dotycząca warunków atmosferycznych. Okazuje się, że gdy pada deszcz woda przecieka przez nieszczelne okna. Korytarz „plynie”

Dzieci brodzą po kostki w wodzie. O katastrofalnym stanie budynku świadczą też zagryzione ściany. Zdeformowane urządzenia techniczne — których często nie wymieniano od 20 lat. Szkoła przydałaby się kapitalny remont. Dyrektorka może się jedynie pocieszać tym, iż w lataniu dziur pomagają jej rodzice. Ostatnio malowali ściany.

Obawy i nadzieje

— Co najbardziej przeszkadza w normalnej pracy szkoły? — zastanawia się Hanna Grzybek. Chyba ciągle brak pieniędzy. Szkoła jest obskurna, aż wstyd po niej chodzić.

Okazuje się, iż nauczyciele z obawami, a dyrekcja z nadzieją czeka na 1 stycznia 1996 roku, gdy samorząd przejmie szkołę. Ci pierwsi obawiają się bowiem redukcji etatów. Dyrektorka zaś twierdzi, iż w obecnej sytuacji finansowej placówki — może być tylko lepiej. Liczy na to, iż przy pomocy samorządu uda się wreszcie wyremontować szkołę.

— Z chęcią wprowadzilibyśmy innowacje, ale najpierw trzeba po-

gmi — bez szczególnych obaw czy nadziei czeka na przejęcie szkół przez samorząd.

— Życie pokaże czy więcej będzie plusów czy minusów tej akcji — mówi. Na pewno szkoły będą lepiej zarządzane, po prostu gospodarz będzie bliżej. Jestem przekonany, że nadal państwo powinno łożyć na utrzymanie szkół. Jeżeli rząd złamię przepisy ustawy o finansowaniu samorządów i nie przeznaczy odpowiednich środków na prowadzenie placówek oświatowych, to czeka go fala procesów sądowych. Tą drogą będziemy domagali się realizacji zapisów ustawowych. Samorządu po prostu nie stać na samodzielne utrzymanie szkół.

Wójt gminy nie wie też na jakich zasadach będą naliczane przez Ministerstwo Finansów subwencje oświatowe. Obawia się nierównego traktowania gmin wiejskich i miejskich. Pewien jest natomiast tego, iż szkoły nie będą zadłużone — samorząd bowiem będzie ustalał ich budżet, a także zatwierdzał arkusz organizacyjny placówek.

W czasie przerwy dzieci beztrudno rozbiegają się po korytarzu, wychodzą na podwórko. Porządku pilnują nauczyciele i dyżurni uczniowie. Przed sklepikiem ustawia się kolejka. Można tam kupić słodycze, napoje, paczki i bułki z ciepłą kielbasą. Nie ma jednak owoców. Przy ogłaszającym dzwonku — dyżurni zapędzają uczniów do szkoły.

Gdy wychodzą ze szkoły obok boiska grupa uczniów zastanawia się co robić po lekcjach.

— Skoczę po piłkę — mówi Paweł. Dziewiętniętce zagracie z nami?

W rytmach muzyki disco-polo, przy oddalonym o kilka metrów od placówki barku, grupa dziesięciolatków pije colę. Ich rozmowy przerykuje piosenkarka: dotykaj mnie co noc, zdobywaj mnie co noc — śpiewa.

Gdy idę na dworzec, odnoszę wrażenie pewnej senności i marazmu, który opanował Szepietowo. Na ulicach jest pusto — pomimo słonecznej pogody. Gdzienigdzie można tylko zauważyć starszków przesiadujących na ławkach przy swoich drewnianych domkach — jak gdyby łapiących ostatni ciepły oddech jesieni. Wydaje się, iż ze wsi zniknęli wszyscy ludzie w średnim wieku. Gdzie się podziali? Okazuje się, że duża populacja wśród okolicznych mieszkańców cieszą się sezonowe wyjazdy „na saksy” do Belgii, Kanady i USA. Wielu rodziców uczniów szepietowskiej szkoły też tam wyjechało. Rytm cichego życia wsi co jakiś czas przerywa jedynie turkot rozpędzonego pociągu.

MAREK KOZUBAL

Z DOBREGO DOMU

Są na mapie oświatowej takie placówki, o których ci, którzy spędzili w nich kilka lat swego życia mówią: mój dom. Określenia tego używają do późnej starości, a kiedy tylko czas im pozwala zaglądają do niego. O! tak z ciekawości — jak wpada się do rodzinnego domu, aby zobaczyć swych bliskich i upewnić się, że wszystko w porządku. Wprawdzie placówek takich jest niewiele, ale z całą pewnością należy do nich Dom Dziecka nr 1 im. Maryny Falskiej w Warszawie. W ciągu 75 lat był bowiem i jest nadal ojcem i matką dla ponad 3 tys. dzieci.

Rodowód tej niezwyklej placówki sięga okresu tuż po zakończeniu I wojny światowej. Wówczas to w 1919 roku z inicjatywy Wydziału Opieki nad Dzieckiem przy Komisji Centralnej Związków Zawodowych powstaje w Pruszkowie zakład dla sierot i półsierot. W Naszym Domu — bo taką otrzymał on nazwę — opiekę znalazło pięćdziesięcioro dzieci w wieku od 7 do 14 lat. Kierownictwo placówki powierzono Marii Falskiej, lekarzem zaś i konsultantem do spraw pedagogicznych został Janusz Korczak. W dwa lata później powstało Towarzystwo Nasz Dom, które miało na celu organizowanie pomocy dla borykającego się z wieloma problemami, w tym także finansowymi zakładu opiekuńczego. Sytuacja pod tym względem jednak wkrótce zmieniła się i to za sprawą Aleksandry Piłsudskiej, którą do współpracy pozyskał zarząd towarzystwa. Skończyły się nie tylko kłopoty, ale konkretnie zaczęto myśleć i przygotowywać się do budowy nowego domu, w którym w pełni zrealizować można byłoby koncepcje pedagogiczne Maryny Falskiej i Janusza Korczaka. W 1927 roku Towarzystwo Nasz Dom uzyskuje kredyty budowlane i rozstrzygnięty zostaje konkurs na jego budowę. Wygrywa go inż. architekt Z. Tarasin.

W tym miejscu warto nieco więcej uwagi poświęcić dyrektorce zakładu w Pruszkowie. Marii Falskiej. Postać i działalność Janusza Korczaka jest bowiem powszechnie znana. Interesująca wydaje się być także znajomość wypadków, które

doprowadziły do współpracy tych dwojga pedagogów. Ciekawość wzbudzić może również pozyskanie przychylności ówczesnych decydentów do osieroconych dzieci.

Otóż po raz pierwszy Falska spotyka Starego Doktora w Kijowie, pod koniec I wojny światowej. Przedtem ma za sobą działalność w Polskiej Partii Socjalistycznej w redakcji „Robotnika”, więzienia i trzyletni okres zesłania. Straciła także najbliższych — podczas epidemii tyfusu zmarł jej mąż — znany lekarz i działacz PPS, a w jakiś czas potem jedyną córeczkę Hania.

Znajomość Falskiej z Piłsudskim i jego pierwszą żoną datuje się z roku 1900, kiedy to razem zostają aresztowani po wykryciu redakcji „Robotnika”. Współpraca, a nawet przyjaźń z tamtego okresu nie przesłoniła jej jednak wad w charakterze przyszłego marszałka i dlatego zdystansowała się od jego działalności. Jak napisał bowiem Jerzy Abramow (Igor Newerly), jeden z jej pierwszych wychowanków: „dla Maryny wszystko — idea, sprawa, przyjaźń istniało bez najmniejszej skazy, albo nie istniało wcale”.

Po rozczarowaniach dotyczących działalności politycznej i przeżyciach osobistych Maryna Falska do końca swych dni poświęcała się dzieciom. Podobnie jak Janusz Korczak w swej pracy pedagogicznej przymus zastępowała dobrowolnym i świadomym przystosowaniem się dzieci do nowych form życia zbiorowego. A nakazy i morały zastępowała atmosfera serdeczności i zaufania.

Przeprowadzka z Pruszkowa do Warszawy była wielkim przeżyciem dla dzieci i ich opiekunów. Budynek, w którym zamieszkał, był na wskroś nowoczesny i wygodny, a do tego pięknie położony.

Nasz Dom zgodnie z koncepcjami pedagogicznymi jego szefowej stał także otworem dla dzieci z pobliskiego osiedla. Ze względu na dobre warunki lokalowe zorganizowano w nim przedszkole, czytelnię, bibliotekę, świetlicę, a latem — półkolonie. Osiągnięcia w pracy wychowawczej sprawiły, iż wkrótce placówkę tę uznano za wzorcową i organizowano w niej kursy dla nauczycieli, gdzie wykładał również Janusz Korczak.

II wojna światowa była najtragiczniejszym okresem w dziejach Naszego Domu. Zapewnienie dzieciom bezpieczeństwa było zadaniem o wiele trudniejszym niż np. zgromadzenie środków na ich wyżywienie. W tym drugim dopomógł bowiem Falskiej „Spolem” i to dzięki konspiracyjnemu porozumieniu z Marianem Rapackim i Józefem Jasińskim.

W tym pełnym niebezpieczeństwa czasie przygotowywano w zakładzie oddziały Związku Walki Zbrojnej. Był on także schronieniem dla sporej grupy dzieci żydowskich, co jak podkreśla Henryka Mirowska, jedna z jego wychowanek, w tamtych czasach było heroicznym czynem pani Maryny. Ponośiła bowiem ona odpowiedzialność za 150 dzieci polskich i cały personel wychowawczy. Na szczęście, mimo iż Dom był kilkakrotnie odwiedzany przez Niemców, niczego nie wykryto.

Z chwilą wybuchu powstania młodzież starsza opuściła Nasz Dom i stawiła się na miejscach zbiórek na Żoliborzu i Mokotowie. W domu pozostały tylko dzieci młodsze. Z polecenia Falskiej przygotowano salę operacyjną i miejscę szpitalne. 7 września nastąpiło jednak najgorsze — Niemcy wydali nakaz ewakuowania Domu. W kilka godzin po jego otrzymaniu Maryna Falska zmarła. Dzieci i wychowawców wysiedlono na Kielecczynę.

Powojenna historia Naszego Domu, a właściwie Domu Dziecka (Towarzystwo Nasz Dom przestało istnieć w 1945 roku) jest równie bogata, chociaż nie wszystko o niej — szczególnie dzisiaj z perspektywy czasu — wydaje się być jednakowo cenne i potrzebne. W 1951 roku placówka otrzymała nazwę Domu Młodzieży im. Feliksa Dzierżyńskiego (przedtem od 1946 roku nosiła imię Maryny Falskiej), a w rok później odwołany zostaje jej dyrektor



(28)

NASZ LEKSYKON

W tym odcinku przedstawiamy biogramy działaczy okręgu rzeszowskiego.

JAN KOLANKO

(1886—1968)

Nauczyciel, działacz ludowy i związkowy. W odrodzonej Polsce organizator ognisk Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych. W latach trzydziestych wiceprezes, a potem prezes Zarządu Głównego ZNP. W okresie okupacji współautor konspiracyjnego pismka dla młodzieży. Po wojnie współautor apelu do nauczycieli o przystąpienie do pracy i organizowanie komórek ZNP.

Urodził się w 1886 roku. Szkołę Ludową ukończył w miejscu swego urodzenia. Świadectwo Szkoły Wydziałowej oraz Seminarium Nauczycielskiego (1906 r.) uzyskał w Krośnie. Dyplom Wyższego Kursu Nauczycielskiego zdobył w Warszawie.

Pracę nauczycielską rozpoczął w Bratkowicach (powiat rzeszowski). Kolejno pracował w szkołach wiejskich w Lukawcu, Chmielniku i Futomie. W latach 1918—1934 r. był kierownikiem szkoły w Kąkolowcu, Dąbrowie, Nizankowicach i wreszcie Szkoły Powszechnej im. Henryka Sienkiewicza w Rzeszowie. Począwszy od 1934 roku (do 1944 r.) kierował radą pedagogiczną i Szkołą Powszechną nr 68 w Warszawie (Żoliborz). Pod koniec 1944 r. powrócił na stanowisko kierownika Szkoły Powszechnej w Rzeszowie.

Od początku swej aktywności zawodowej pasjonował się działalnością społeczną. Chłop Jan Szłoma, kierujący ruchem ludowym w Bratkowicach, wprowadził go do PSL. W latach 1907—1910 spotykamy go wśród organizatorów kółek rolniczych. Z tej racji wybrany został członkiem Zarządu Powiatowego Towarzystwa Kółek Rolniczych w Rzeszowie. Należy też do grona popularyzatorów i działaczy Ochotniczej Straży Pożarnej.

Walczył o demokrację oświaty i zmianej pozycji nauczyciela. Nie zabrakło go więc wśród wicjuczyli — w latach 1907 i 1914 — nauczycieli. Już w tym czasie był członkiem Ogniska Związku Nauczycielstwa Ludowego w Galicji — w Jasionce koło Rzeszowa.

Jego nauczycielsko-społeczna praca przerwana została wcieleniem Go w 1915 r. do wojska austriackiego. W 1918 r. zdezerterował i do zakończenia wojny ukrywał się.

Po I wojnie światowej przystąpił natychmiast do pracy związkowej i politycznej (PSL „Piast”). Trósząc się o nauczycielski ruch zawodowy w odrodzonej Polsce był organizatorem wielu ognisk Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych. Śmiało wystąpienia, walka o właściwą pozycję społeczną nauczyciela, o demokratyczną i wolną od dominacji duchowieństwa szkołę — zyskały mu szacunek wśród pracowników oświaty. Środowisko powierzyło mu funkcję prezesa Oddziału Powiatowego Związku w Rzeszowie (1921—1926) i Przemysłu (1925—1926). Piastowanie tych godności i aktywność w Okręgu Lwowskim sprawiły, że Zjazd wybrał go na wiceprezesa Zarządu Okręgu i członka ZG ZNP. Był też — w latach 1934—1936 — redaktorem „Głosu Nauczycielskiego”.

Praca na tych stanowiskach, jak i poglądy prezentowane w licznych artykułach zamieszczonych m. in. w „Gazecie Ludowej”, „Głosie Nauczycielskim” i „Przeglądzie Historyczno-Oświatowym” sprawiły, że stał się działaczem znanym w kraju. W 1934 roku został wybrany wiceprezesa Zarządu Głównego ZNP, a w rok później przejął funkcję prezesa ZG. W tym okresie ZNP radykalizował się. Na Zjeździe Delegatów ZNP w czerwcu 1937 r. Jan Kolanko powiedział: (...) My, nauczycielstwo w Polsce, tworzymy front demokratyczny, front swobód obywatelskich i z tego naszego założenia wypływają nasze nakazy w działaniu. I z defensywy przejdziemy do ofensywy”. Potwierdzeniem tego stanowiska była odmowa przez Zarząd Główny wejścia w skład budowanego przez sanację OZN. W tym też roku Jan Kolanko kierował strajkiem ZG ZNP będącym wyrazem protestu przeciwko kuratorowi narzuconemu ZG ZNP przez rząd.

W okresie okupacji był aresztowany, a po zwolnieniu znajdował się pod stałym nadzorem Gestapo. Mimo to współredagował konspiracyjne pismo dla młodzieży „Świetlica”.

We wrześniu 1944 r. powraca do Rzeszowa i obejmuje stanowisko kierownika szkoły. Współz z Kazimierzem Mikoszem, Marianem Aleksiewiczem, Teodorem Wojnarowskim i innymi działaczami przystąpił do odbudowy oświaty i ZNP. W nowej jednostce administracyjnej współtworzy i staje na czele Tymczasowego Zarządu Okręgowego ZNP w Rzeszowie.

Współz z prezesami ZO Lublina i Białogostka 24 stycznia 1945 roku jest współautorem apelu do nauczycieli o „natychmiastowe przystąpienie do pracy; o organizowanie komórek ZNP i włączenie się nauczycielstwa do „budowy Polskiej Demokratycznej” o którą Związek walczył przez cały okres swego istnienia”.

W marcu 1945 r. t.j. od momentu reaktywowania pracy przez Zarząd Główny ZNP wchodzi w jego skład. Uczestniczył w różnych akcjach organizowanych przez ZG, wywierał wpływ na podejmowane uchwały i ich realizację. Występował w obronie nauczycieli, którzy pod zarzutem okupacyjnej działalności w organizacjach prołondyńskich, a także pekawuenowskich — byli inwigilowani bądź aresztowani. Zarządy kierowane wówczas często pod adresem nauczycieli i Związku starał się tonować — i w miarę możliwości — oddalać.

Na terenie Okręgu zmobilizował Związek do organizowania — tak bardzo wówczas potrzebnej — doraźnej pomocy: żywności, bielizny, ubrania, obuwi. Do współdziałania w tej dziedzinie pozyskał PPR, PPS, SD oraz SL i PSL. Nie bez znaczenia był tu fakt, że Jan Kolanko znalazł się w składzie (do 1950 r.) Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie.

W wieku 64 lat przeszedł na emeryturę. Nie pozostawał jednak bezczynny. Podjął pracę na stanowisku kierownika referatu odczytów TWP. Ponadto pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Oświaty WK i MK ZSL, a także członka Centralnej Komisji Historycznej ZG ZNP.

Zmarł w Rzeszowie w styczniu 1968 roku

NASZ LEKSYKON

DOKOŃCZENIE ZE STR. 7

JÓZEF WÓJTOWICZ (1906—1963)

Nauczyciel, działacz społeczny i związkowy. Uczestnik wojny w 1939 roku. Prezes Zarządu Okręgu ZNP w Rzeszowie przez trzy kadencje. Delegat na krajowe zjazdy ZNP.

Urodzony w 1906 roku w Staroniwie w powiecie rzeszowskim. W latach 1922—1929 uczęszczał do Państwowego Seminarium Męskiego w Rzeszowie, w którym w 1929 roku zdał egzamin dojrzałości. Służbę wojskową odbył w Nisku, a po praktyce w 17 pułku piechoty w Rzeszowie uzyskał stopień podporucznika.

W październiku 1930 roku otrzymał nominację na tymczasowego nauczyciela publicznej szkoły powszechnej w Woli Zaręczyckiej. Po odbyciu praktyki i zdaniu egzaminu praktycznego, w 1933 roku otrzymał nominację na nauczyciela publicznych szkół powszechnych. Od września 1934 roku pracuje w pięcioklasowej szkole w Wólce Niedźwieckiej, w której pełnił obowiązki kierownika do wybuchu II wojny światowej.

Jednocześnie dokształcał się — zdał m.in. egzamin z przedmiotów pedagogicznych na Wyższym Kursie Nauczycielskim we Lwowie (1938 r.). Swe wykształcenie na poziomie WKN uzupełnił w czasie pobytu w obozie jenieckim w Woldenbergu.

Po zmobilizowaniu 25 sierpnia 1939 roku Józef Wójtowicz wziął udział w działaniach wojennych, w czasie których został ranny. 11 września 1939 r. (nieдалеко Przemyśla) dostał się do niewoli niemieckiej. Po krótkim pobycie w Krakowie skierowany został do Ofiagu II C Woldenberg, w którym przebywał do końca wojny.

Po powrocie z obozu ponownie podjął pracę w szkolnictwie. Początkowo objął stanowisko kierownika szkoły w Wólce Niedźwieckiej, ale już na początku 1946 r. przeniesiony został do Staroniwy koło Rzeszowa gdzie był również kierownikiem szkoły. Od września 1948 r. pracuje w Publicznej Szkole Powszechnej im. Henryka Sienkiewicza w Rzeszowie: początkowo jako nauczyciel, a następnie — kierownik szkoły. W 1948 r. powierzono mu prowadzenie Wydziału Ekonomiczno-Socjalnego przy ZO ZNP.

Józef Wójtowicz był też aktywnym działaczem społecznym. W 1947 r. wstąpił do PPS, od 1948 r. należał do PZPR. Był członkiem Komisji Oświaty KW PZPR. Brał udział w akcji walki z analfabetyzmem. Pracował przez kilka lat na stanowisku sekretarza Okręgowego Społecznego Komitetu Radiofonizacji Kraju. Pełnił też funkcję radnego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie.

W latach 1950—1953 był kierownikiem Wydziału Kulturalno-Oświatowego Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych, a następnie (do 1957 roku) — dyrektorem Wojewódzkiego Domu Kultury. Dokładal wielu starań zmierzających do podtrzymywania kultury ludowej regionu, popierał powstanie i działalność regionalnych zespołów artystycznych oraz bibliotek wiejskich. Jednocześnie z pasją oddawał się pracy nad rozwojem studia operowego przy WDK, organizował występy i spektakle z udziałem wybitnych aktorów polskich.

W 1957 r. zostaje prezesem Zarządu Okręgu ZNP w Rzeszowie. Jeszcze dwukrotnie powierzano mu tę funkcję (w latach 1959 i 1962). Dwukrotnie też w 1959 i 1962 roku był delegatem na krajowe zjazdy ZNP. Był wytrwałym rzecznikiem spraw nauczycielskich. Pracując w Zarządzie Okręgu troszczył się o polepszenie warunków materialnych, rozwiązywanie sytuacji mieszkaniowej, zapewnienie odpowiednich warunków do dokształcania się. Był inicjatorem budowy szkół i domów nauczycieli.

Nagła śmierć z powodu zawału serca w marcu 1963 r. przetrwała jego służbę dla oświaty i nauczycieli. Rozpoczął ją bezpośrednio po wojnie w trudnej sytuacji polityczno-społecznej, kiedy wielu pracowników oświaty było podejrzanych o działalność wrogą wobec władz Polski Ludowej lub sprzyjanie rządowi emigracyjnemu. Wielu z nich było aresztowanych. Do interweniowania w obronie niewinnie zatrzymanych nauczycieli — w imieniu Zarządu Okręgu ZNP — powołano delegację z Józefem Wójtowiczem na czele. Dysponując specjalnym funduszem reprezentacyjnym i pełnomocnictwami występowali oni odważnie w obronie nauczycieli. Dzięki zabiegom delegacji ZNP i władz oświatowych udało się wyjaśnić wiele spraw i zwolnić z więzień więcej niż połowę zatrzymanych w latach 1945—1947 nauczycieli.

MARIAN ALEKSIEWICZ (1899—1972)

Nauczyciel i działacz związkowy. Uczestnik tajnego nauczania. Autor kilkudziesięciu publikacji naukowych i popularnonaukowych.

Należał do Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich w Tarnopolu. Po powstaniu ZNP pracował w sekcji szkolnictwa średniego. Prezes Zarządu Oddziału ZNP w Rzeszowie, a później — prezes Zarządu Okręgu.

Urodził się w 1899 r. w Stryju. Od 13 roku życia musiał zarabiać na utrzymanie: naukę w gimnazjum godził z udzielaniem korepetycji. Po ukończeniu studiów na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu we Lwowie pracował jako nauczyciel w Gimnazjum w Tarnopolu (1928—1930), a od października 1930 r. — w Gimnazjum w Rzeszowie.

W czasie II wojny światowej pracował w fabryce win jako kasjer. Uczestniczył też w tajnym nauczaniu. Od września 1945 r. prowadził Gimnazjum i Liceum Prywatne w Sokołowie Małopolskim, od 1948 r. był kierownikiem jedenastoletniej Szkoły Żeńskiej w Rzeszowie, a następnie — i Liceum w Rzeszowie. Od 1953 roku kierował sekcją wychowania obywatelskiego, a następnie historii w Wojewódzkim Ośrodku Doskonalenia Kadr Oświatowych. W latach 1957—1968 pełnił obowiązki kierownika sekcji historii w Okręgowym Ośrodku Metodycznym w Rzeszowie. Opublikował około 40 prac naukowych i popularnonaukowych.

Od początku pracy nauczycielskiej był związany z organizacją związkową. Należał do Związku Zawodowego Nauczycielstwa

KORESPONDENCJA Z LYONU

Lyon znaczy „lew”. Miasto, w którym przyszedł na świat — rue Alphonse Fochier 8 — Antoine de Saint Exupéry. Miasto, w którym Maurycy Mochnacki kwitował własnoręcznym podpisem dnia 13 kwietnia 1833 r. odbiór zasilku uchodźczego w wysokości 50 franków, ufundowanego przez stowarzyszenie *Bazar Polonais*. Miasto, w którym ostatnie swe lata spędził i zakończył życie autor *Warszawianki*, Casimir Delavigne, pochowany na paryskim Père Lachaise. Miasto, które było świadkiem chwały i sukcesów życiowych wnuka emigranckiego, George'a Martina Wilkowskiego (1874—1943), muzyka, kompozytora, założyciela szkoły funkcjonującej po dzień dzisiejszy...

Po paryskim gigancie, pełniącym wszak w Europie znacznie poważniejszą rolę niż stolica państwa, Lyon może wydać się oazą ciszy i spokoju. Nie tknięty ręką urbanisty-wizjonera w rodzaju Haussmanna, zachował tradycyjny układ ulic; spotykają się one ze sobą pod kątem prostym. Obcy przybysz nie odnajdzie tu gwieździstych placów, a rytm ulic i uliczek wiąże się po prostu z linią dwóch rzek malowniczo przepływających przez miasto: Rodanu i — wpadającej doń poniżej centrum — Saony. Najstarsza część Lyonu, ruiny teatrów rzymskich sprzed 2000 lat, to nieprzypadkowy wybór wzgórz na zachodnim brzegu Saony. Serce miasta z pięknym placem Bellecour i konnym pomnikiem „Króla-Słońce” okalają ramiona obu rzek, tworzących tutaj coś na kształt półwyspu, począwszy od mostu Morana i ratusza, a skończywszy na cyplu Perrache, gdzie w XIX w. ulokował się dworzec kolejowy.

Paryż ceni sobie Montmartre i królującą nad nim świątynię Sacré-Coeur, w Lyonie tę funkcję spełnia bazylika Notre Dame de Fourvière, nieciekawa architektonicznie, lecz ze względu na swe położenie obiecująca pielgrzymowi uczucie satysfakcji. Gdy pokona wzgórze, będzie miał — patrząc ku wschodowi — całe miasto u swych stóp. Zobaczysz wtedy jak na dloni panoramę przeciwnego brzegu Rodanu, harmonijną w kolorystyce i gabarytach zabudowę. Z jednym wyjątkiem. W samym środku sterczy samotny, 40-piętrowy „olówek”, okrągły — jak to się kiedyś mówiło — drapacz chmur i zwrócony ku górze „drapie chmury” swą załatemperowaną, „spiczastą” końcówką. Mieszczą się w nim urzędy, m.in. bank *Credit Lyonnais* oraz — w części najwyższej — hotel. Wokół „olówka” powstało współczesne centrum komunikacyjne, handlowe i kulturalne, także Biblioteka Miejska (odpowiednik warszawskiej Biblioteki Publicznej). Biblioteka matkuje dzielnicy filiom i... bibliobusowi, który dociera do zaułków aglomeracji lyońskiej. W nowoczesnym, przeszklonym budynku na pięciu kondygnacjach mieści się wszystko, czego dla ducha i ciała potrzebuje czytelnik. Zbiory mają charakter multimedialny: są to oczywiście książki i czasopisma, a ponadto rękopisy, mapy, plakaty, kasety wideo i magnetofonowe, płyty standardowe i kompaktowe, CD-ROM-y, czyli książki elektroniczne. Katalogi są dostępne w sieci Internetu. Mała kawiarnia składa się wyłącznie z automatów. Większa nie gardzi obsługą tradycyjną, uśmiechniętą i nad wyraz uprzejmą. Kiedy jestem traktowany jak człowiek, zapominam o niebezpiecznym podłożu tych uśmiechów. Niech to będzie walka o przedwojenny centrum Grenoble — jest „Grand Hotel”. Wchodzimy do środka. Młoda czarnoskóra dziewczyna uśmiecha się profesjonalnie

do dyspozycji czytelników wyłożono stopy prospektów reklamujących życie kulturalne miasta i okolic, festiwal, konferencje międzynarodowe, wystawy, nowości wydawnicze. Zalew informacji i prospektów właśnie teraz, gdy zdemontowano wszystkie pojemniki na śmieci, daje się szczególnie we znaki służbom miejskim. Ale skuteczna — czytaj: natrętna, wszędzie dostępna — informacja nie dba o swoją cenę. W katalogach bibliotecznych wrywkowo sprawdzam *polonica*. Są. Dominują podręczniki historii Polski i edycje źródłowe związane z I wojną światową, stosunkowo skromnie prezentuje się literatura polska (Mickiewicz, Norwid, Skienkiewicz). Pytanie o czytelników wymagałoby przypomnienia, iż oprócz Lyonu jeszcze dwa pobliskie miasta — Grenoble i St. Etienne — liczą się w bilansie wielopokoleniowej emigracji polskiej XX w. we Francji.

Grenoble — wrota Alp francuskich — dzieli od Lyonu niecałe 100 kilometrów. Miejscowości potracająca

— choć przedko zrozumie, że nie jesteśmy materiałem na klientów — chętnie podejmuje rozmowę. Nie, nigdy nie słyszała o wojennej przeszłości hotelu, o siedzibie PCK i o centrum kulturalnym intelektualistów polskich II Rzeczypospolitej, o koncertach śpiewaczki Janiny Brochwicz-Skoczyńskiej i pianisty Zygmunta Dygata, prowadzonych przez Paczkowskiego. Wyrzuciła ubolewanie, iż nie trafiliśmy na dyrektora i właściciela hotelu p. Michela Closiera, który weekendy spędza poza Grenoble. Jej wiara w szefa kazala i nam uwierzyć, że byłby to rozmówca świadomy przeszłości.

Czy aby na pewno? Wręczono nam prospekty, zaproszono do odwiedzenia stolicy Alp. Bylem zawiadzony: na trzech czwartych powierzchni papieru kredowego królowała niczym nie zmacona biel, brakowało natomiast choćby fotografii fasady budynku. Argumenty mające przekonać klientów do zamieszkania w „Grand Hotelu” przypominały mi uzasadnienie wyczynów ekipy remontowej warszawskiego „Bristolu”, systematycznie pokój po pokoju niszczącej wystrój secesyjny wnętrz, pamiętający Paderewskiego, Kiepure... Monsieur Closier obwiszcza bowiem zain-

teresowanym, iż jego hotel zastana go „totalnej transformacji”, unowocześniony, klimatyzowany, odmieniony w każdym szczególe. Spóźniłem się, niestety! Trzeba do siebie mieć pretensje. Nie, nie będę już szukał śladów Paczkowskiego, bo ich nie znajdzie. Zegnamy Grenoble wielokrotnie, gdyż pokonanie łańcucha górskiego samochodem w drodze do Villard de Lans wymaga wspinaczki, podczas której stolica Alp ukazuje się naszym oczom to z prawej; to z lewej strony, zapadając coraz głębiej w dolinę. W Villard de Lans najpierw odrobina dedukcji, a potem wzruszenie. Wyśiadamy z samochodu i idziemy „ulicą Szkoły Polskiej”. Gdzieś tutaj powinniśmy odnaleźć „starą budę” kilku roczników uczniów, którzy kształcili się w jej murach od października 1942 do czerwca 1946 r. Uliczka cicha i skromna, ledwo się zaczęła, już się skończyła. Doszliśmy do głównej drogi biegnącej przez miasto. Zaden z mijanych domów nie przypominał budynku szkolnego. Ten ostatni też nie: dwupiętrowy, stojący przy szosie, zbudowany na planie kwadratu, z wysokim strychem, przypominający raczej starą oberżę lub zajazd. A jednak — to tu. Na narożniku od frontu utwierdza nas w tym dwujęzyczna tablica pamiątkowa. Inskrypcja podkreśla, iż była to jedyna szkoła polska w okupowanej przez Niemców Europie. Niestety, obficie serwowane turystom bezpłatne materiały informacyjne, poświęcone m.in. ruchowi oporu, nie wspominają o karcie polskiej. Próżno by tu szukać wzmianki o początkach konspiracji POWN.

ULICA SZKOŁY POLSKIEJ...

Wracamy do rzeczywistości. Czy Polacy współcześni mają jakieś osiągnięcia w tej samej scenierii? Otóż

teresowanym, iż jego hotel zastana go „totalnej transformacji”, unowocześniony, klimatyzowany, odmieniony w każdym szczególe. Spóźniłem się, niestety! Trzeba do siebie mieć pretensje. Nie, nie będę już szukał śladów Paczkowskiego, bo ich nie znajdzie.

Zegnamy Grenoble wielokrotnie, gdyż pokonanie łańcucha górskiego samochodem w drodze do Villard de Lans wymaga wspinaczki, podczas której stolica Alp ukazuje się naszym oczom to z prawej; to z lewej strony, zapadając coraz głębiej w dolinę.

W Villard de Lans najpierw odrobina dedukcji, a potem wzruszenie. Wyśiadamy z samochodu i idziemy „ulicą Szkoły Polskiej”. Gdzieś tutaj powinniśmy odnaleźć „starą budę” kilku roczników uczniów, którzy kształcili się w jej murach od października 1942 do czerwca 1946 r. Uliczka cicha i skromna, ledwo się zaczęła, już się skończyła. Doszliśmy do głównej drogi biegnącej przez miasto. Zaden z mijanych domów nie przypominał budynku szkolnego. Ten ostatni też nie: dwupiętrowy, stojący przy szosie, zbudowany na planie kwadratu, z wysokim strychem, przypominający raczej starą oberżę lub zajazd. A jednak — to tu. Na narożniku od frontu utwierdza nas w tym dwujęzyczna tablica pamiątkowa. Inskrypcja podkreśla, iż była to jedyna szkoła polska w okupowanej przez Niemców Europie. Niestety, obficie serwowane turystom bezpłatne materiały informacyjne, poświęcone m.in. ruchowi oporu, nie wspominają o karcie polskiej. Próżno by tu szukać wzmianki o początkach konspiracji POWN.

Wracamy do rzeczywistości. Czy Polacy współcześni mają jakieś osiągnięcia w tej samej scenierii? Otóż

o doniosłości wydarzenia świadczy fakt, iż jest to pierwsza tego typu komórka polska w szkolnictwie państwowym francuskim, a także w skali całej Europy Zachodniej. Utworzenie kolejnej, bodaj piątej placówki szkolnictwa średniego CSI we Francji — Lyon zawięcza w sposób paradoksalny Interpolowi. Odkąd bowiem miasto nad Saoną i Rodanem stało się siedzibą centrali tej organizacji, wzrosło zainteresowanie programem szkoły międzynarodowej. Francuzi zrozumieli, że formuła CSI umacnia rangę ich języka. Założenia są wspólne dla wszystkich zespołów: językiem wykładowym jest francuski, nauczania innych języków odbywa się w wymiarze 4 godzin tygodniowo. Ponadto każdej grupie narodowościowej przysługuje prawo wykładania w języku ojczystym historii i geografii. Utworzenie Sekcji polskiej CSI na poziomie collége i liceum nie narusza zasad funkcjonowania Szkoły Polskiej w Lyonie, w Collège St. Marc. Zdaniem konsula Czarlewskiego, liczba uczniów w przyszłym roku podwoi się, jeśli nie potroi. Być może uda się też pomnożyć liczbę sponsorów sekcji wśród instytucji francuskich stale współpracujących z Polską. „Chciałbym — mówi konsul Czarlewski — aby rozwiązanie lyońskie stało się przykładem do naśladowania, modelowym rozwiązaniem problemu nauczania języka polskiego na Zachodzie”.

Paryż dopiero myśli o powołaniu sekcji polskiej w CSI. Oby stało się to jak najprędzej.

WOJCIECH J. PODGÓRSKI

PS. Wiadomość z ostatniej chwili. Francuzi, nekani zamachami terrorystycznymi, znaleźli wyjście z impasu. Nieprzepracowane pojemniki na śmieci zastępują przejrzystymi torbami z plastiku...

Z DOBREGO DOMU

CD ZE STR. 7

Wiktor Sieradzki. Najwięcej do powiedzenia ma Biuro ZMP, którego celem było „czuwanie nad całokształtem pracy młodzieży ze szczególnym uwzględnieniem politycznej strony życia Domu”. Po październiku 1956 roku placówka odzyskuje swą pierwotną nazwę, wraca też na swe stanowisko dyrektor Sieradzki. W pracy z młodszymi dziećmi stosowane są metody pedagogiczne Falskiej i Korczaka. W 1987 roku dyrektorem placówki zostaje **Teresa Studniewska**, przedtem przez prawie 10 lat pełniła funkcję wicedyrektora do spraw pedagogicznych.

Z wiedząc bogatą izbę pamięci, w której zgromadzono cenne materiały archiwalne związane z długą historią Domu, nietrudno zauważyć, iż wiele miejsca zajmują w niej liczne kontakty międzynarodowe. Świadczą one o tym, iż Dom Dziecka na Bielanach stał otworem nie tylko przed dziećmi polskimi, ale udzielał swej gościny także ich rówie-

śnikiem z Korei, Grecji, RFN, Izraela itd., zarówno gdy byli w potrzebie, jak i wówczas, gdy przyjeżdżali do Polski jako turyści. W drodze rewizyty wychowankowie bielańskiego domu dziecka odwiedzali swych przyjaciół w ich krajach.

Tak się złożyło, iż w ostatnich latach kilka razy miałam okazję odwiedzić bielański Dom Dziecka im. Maryny Falskiej. Za każdym razem refleksja po wyjściu stamtąd była taka sama — że dzieciom nie brakuje tu niczego, a nawet, że żyje im się znacznie lepiej niż ich rówieśnikom. Z wyjątkiem jednego — nie ma przy nich na co dzień ojca i matki. Są wprawdzie bardzo oddane swym podopiecznym wychowawczyń — wychowawcą jest jeden — i dyrektorka, która ramieniem chciałaby objąć wszystkich podopiecznych — ale czy jest to możliwe. To retoryczne pytanie stawiają sobie dość często pracujący tu pedagodzy. Stąd nie zajmują się tylko dziećmi, z których zdecydowana większość to sieroty społeczne, ale edukują także ich rodziców. Nic więc dziwnego, że w bielańskim domu dziecka panuje prawdziwie rodzinna atmosfera. Żelazną

zasadą jest tutaj nierozdzielanie rodzeństw, co powoduje, iż do grup trafiają rodziny. Być może, że już wkrótce jedna rodzina stanowiąc będzie jedną grupę. Dom Dziecka zaopiekuje się bowiem 12-osobowym rodzeństwem.

— Tradycja ma dużą wartość w wychowaniu, dlatego w codziennej pracy korzystamy z doświadczeń pedagogicznych Maryny Falskiej i Janusza Korczaka, a jednocześnie staramy się, aby nic nie umknęło naszej uwadze z nowoczesnej pedagogiki — mówi Teresa Studniewska. Zależy nam bowiem na tym, aby wciąż aktualna była opinia, jaką formułuje się pod adresem naszych wychowanków — pochodzą z dobrego domu. Pomocne w osiągnięciu tego celu będzie z pewnością reaktywowane w 1992 roku Towarzystwo Nasz Dom.

A wówczas po latach, być może dzisiejsi mieszkańcy Domu Dziecka nr 1 na warszawskich Bielanach wystawią swym wychowawcom taką cenurkę jaką pani **Maria Pliszczyńska-Taboryska** (wychowawca z lat 1924-1930) sporządziła swym opiekunom: **W Naszym Domu najbardziej podobała mi się sprawiedliwość, stosowana zarówno do dzieci, jak i wychowawców. Wiedziאלam co jest dozwolone, a co zabronione. Jasność w tym względzie dawała poczucie bezpieczeństwa i godności.**

KRYSTYNA STRUŻYNA

Wśród licznych uroczystości z okazji 90-lecia Związku Nauczycielstwa Polskiego ta była wyjątkowo wzruszająca. Na swój pożegnalny zjazd przybyli bowiem 19 października 1995 roku do Zarządu Głównego ZNP — nieliczni już członkowie Centralnego Koła Absolwentów Instytutów Pedagogicznych ZNP, które działały w latach 1928—1950. Dodajmy, że Instytut Pedagogiczny we Wrocławiu był pierwszą wyższą uczelnią nauczycielską na Ziemiach Odzyskanych.

Z MARIANEM RAWĄ, prezesem Centralnego Koła Absolwentów Instytutów Pedagogicznych ZNP, o latach studiów w uczelni związkowej rozmawia Witold Salański.

POPZRZECZKĘ STAWIAĆ WYSOKO

— Wasze koło na swoim ostatnim zjeździe 19 października 1995 roku postanowiło zawiesić działalność. Żal, gdy coś się kończy...

— Siła wyższa. Czasu nie da się zatrzymać. Od zamknięcia Instytutu Pedagogicznego ZNP upłynęło już ponad 40 lat. Było nas, absolwentów, łącznie z rocznikami przedwojennymi, ponad tysiąc. Wykruszamy się w sposób naturalny. Została nas garstka, może kilkudziesięciu. Zaproszenia na ostatni, pożegnalny zjazd wysłaliśmy do ponad 30 koleżanek i kolegów. Przybyło zaledwie 10 osób, bo tyle było w stanie dotrzeć o własnych siłach. Inni przysłali tylko pozdrowienia. Była wśród nich koleżanka z Czeszochowy, **Natalia Jakubowska**, licząca ponad 100 lat.

Muszę wyznać, że przesładowałam jakieś przeznaczenie. Jestem ostatnim prezesem koła absolwentów. W Instytucie Pedagogicznym ZNP studiowałam polonistykę w latach 1947—1951. Byłam ostatnim egzaminowanym słuchaczem na moim roku. Tak się bowiem złożyło, że mój egzaminator, prof. Jan Trzynadłowski, u którego pisałam pracę dyplomową na temat struktury nowel chłopskich Henryka Sienkiewicza, pracował na stałe na Uniwersytecie Wrocławskim i mógł przyjechać na sesję egzaminacyjną w naszym instytucie dopiero pod koniec czerwca.

— Co to była za uczelnia — ten instytut? Czym się różniła od innych szkół pedagogicznych?

— Przed wojną była to głównie placówka doskonalenia zawodowego. Ograniczano się do pedagogiki i psychologii. Po wojnie zmieniła swój charakter. Występował ogromny deficyt nauczycieli. Związek Nauczycielstwa Polskiego przeobraził więc instytut w klasyczną szkołę pedagogiczną, w której kształcono specjalistów do poszczególnych przedmiotów, przy czym — rzecz znamienna — nie była to wąska specjalizacja. Ja na przykład studiowałam polonistykę wraz z historią. Historycy mieli dodatkowe zajęcia i egzaminy z filologii polskiej itd. Dyplom ukończenia instytutu upoważniał do nauczania w szkołach średnich. Jednak magisterium można było zrobić tylko w uczelni państwowej. Ja uczyniłam to na Uniwersytecie Warszawskim.

I jeszcze jedno. Instytut Pedagogiczny ZNP był uczelnią dla pracujących. Wtedy nie mogliśmy sobie pozwolić na studia dzienne, stacjonarne. Jak wspominałem, brakowało nauczycieli. Poza tym z powodu wojny byliśmy wszyscy opóźnieni w nauce. Stracony czas mogliśmy nadrobić tylko

Choć decyzja o likwidacji związkowych uczelni zapadła w 1950 roku, to jednak istniały one faktycznie jeszcze kilka lat, do czasu zakończenia pełnego programu studiów przez ostatni rocznik. Uczelnie te odegrały ważną rolę w dziejach edukacji nauczycielskiej w Polsce. Zrodziły się w wyniku fermentu umysłowego wśród nauczycieli. Zmodernizowały przestarzałe systemy kształcenia pedagogów. Inspirowały władze oświatowe do reformowania studiów pedagogicznych. Mówią dziś o tym członkowie Centralnego Koła Absolwentów.

rszawy często z dalekiej prowincji. Akumulatory, które ładowaliśmy w stolicy, pozwalały nam przetrwać trudny okres powojenny, kiedy warunki pracy w szkołach były naprawdę ciężkie.

— W tym roku powstała WSP ZNP. Co warto byłoby przenieść ze starej uczelni związkowej do nowej?

— Chciałbym, aby powrócono do dawnej tradycji angażowania, do prowadzenia zajęć wykładowców o najwyższych kwalifikacjach naukowych i moralnych. Dziś zapominamy, że w pracy wychowawczej nie można się obejść bez autorytetów, wzorów do naśladowania, osobistych przykładów. Jeśli słuchacze WSP ZNP mają stanowić wzór osobowy dla swoich wychowanków, to przecież muszą mieć na kim się wzorować.

Uważam też, że WSP ZNP powinna — podobnie jak dawny Instytut Pedagogiczny — zdobyć renomę uczelni, z której wychodzą tylko dobrzy nauczyciele. Poprzeczkę wymagań trzeba więc zawiesić wysoko. My nie mieliśmy żadnej taryfy ulgowej. Egzaminatorzy nie okazali nam litości. Wielu z nas się wykruszyło, ale ci, którzy instytut ukończyli, sprawdzili się w zawodzie i porobili kariery w dobrym tego słowa znaczeniu.

Mam nadzieję, że nowa uczelnia ZNP będzie również przodować w wypracowywaniu najlepszego modelu kształcenia nauczycieli.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
WITOLD SALAŃSKI



— Ci, co ukończyli naszą uczelnię, sprawdzili się w zawodzie nauczycielskim i porobili kariery w dobrym tego słowa znaczeniu.

studując i pracując jednocześnie.

— Jakie zachował Pan wspomnienia z lat studiów w instytucie? Jaka była tam wówczas atmosfera?

— Była to uczelnia niezwykła. Związki Nauczycielstwa Polskiego udało się zaangażować do prowadzenia zajęć najwybitniejszych wykładowców, ludzi o ogromnym autorytecie naukowym i moralnym. Gdy brakowało jakiegos specjalisty w Warszawie, to zapraszano z Łodzi czy innych ośrodków akademickich. Była to naprawdę czołówka nauki polskiej. Na przykład wykłady z historii prowadzili między innymi profesorowie Tadeusz Mantuffel i Stefan Kieniewicz, z psychologii Stefan Baley, z pedagogiki Bogdan Suchodolski.

Kontakt z tymi ludźmi dawał nam wiele. Stanowili dla nas wzór osobowy. W pracy nauczycielskiej starał się ich naśladować, traktując uczniów w podobny sposób — z szacunkiem, po partnersku, z wysoką kulturą osobistą. Jedną z koleżanek przypominała na naszym ostatnim spotkaniu, jak to profesor Baley za coś ją skarcił. Potem szukał jej dwa dni, żeby przeprosić. Koleżanka, wówczas młoda słuchaczka, była zdumiona tym, że sławny profesor zaprzętał głowę jej skromną osobą. Incydent ten najlepiej świadczy o klasie naszych wykładowców. Obcowaliśmy z nimi, bywało, że na co dzień, na przykład podczas letnich sesji egzaminacyjnych, które były organizowane w Krzaczastym Młynie, ośrodku wczasowym ZNP w Gdańsku-Oliwie. Pamiętam też, że w czasie na-

szego pobytu w Warszawie — na wykładach i zimowych sesjach egzaminacyjnych — ZNP organizował nam bogate życie kulturalne oraz spotkania z ciekawymi ludźmi. Jako polonista bardzo ceniłem sobie wyprawy do teatru. Utrzymywaliśmy również bliski kontakt z ówczesnymi prezesami ZNP. My, studenci, też szybko zbrataliśmy się. Zadzierzgnięte wówczas więzy koleżeńskie podtrzymywaliśmy całe życie, właśnie na spotkaniach naszego koła absolwentów. Dlaczego byliśmy tacy chłonni, spragnieni wiedzy, ciekawi życia i ludzi? Wojna dopiero co się skończyła. Ja jeszcze w 1945 roku byłem na robotach przymusowych w Prusach Wschodnich. Możliwość studiowania w Instytucie Pedagogicznym ZNP traktowałem więc jako niezwykle szczęśliwą i wprost niewiarygodną odmianę losu. Poza tym proszę pamiętać, że w tamtych latach nie mieliśmy telewizji. Wówczas bardzo wysoko ceniło się żywe kontakty z ludźmi i wielkim światem. My, nauczyciele, przyjeżdżaliśmy do Wa-

JAK DROŹDŹE

DANUTA TEOFIEWICZ — absolwentka Instytutu Pedagogicznego ZNP w Warszawie, emerytowana nauczycielka historii, łaciny i przedmiotów pedagogiczno-psychologicznych w III Liceum Ogólnokształcącym im. Krzysztofa K. Baczyńskiego w Białymstoku.

— Studia w Instytucie Pedagogicznym rozpoczęłam zaraz po wojnie, która przerwała możliwość nauki wielu młodym ludziom. Byliśmy więc wygłodnieni zdobywania wiedzy, a nasi profesorowie jej przekazywaliśmy. Prof. Stefan Baley, człowiek niezwykle i bardzo lubiany przez studentów, wprowadził unikalny sposób treningu pamięci — prosił nas o krótkie przypomnienie poprzedniego wykładu. Zajęcia mieliśmy w instytucie i na Uniwersytecie Warszawskim, a tym samym była to okazja do obcowania z takimi autorytetami naukowymi jak: prof. Marią Grzegorzewską, prof. Karolem Estreicherem, prof. Wincentym Okonem, prof. Aleksandrem Gieysztozem, prof. Januszem Wolińskim czy prof. Bogdanem Suchodolskim. Ten ostatni był dla mnie „autorytetem krepującym” — gdy z nim rozmawiałam zawsze myślałam: „Boże, jak ten wielki erudyta cierpi, gdy wysłuchuje mych białdań”.

Tak jak dzisiejsi studenci borykali się z trudnościami, które zawsze są udziałem braci żakowskiej. Narzekaliśmy na to, że za

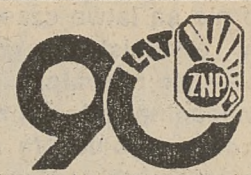
dużo wykładowcy zadają nam do czytania. Nie wypadło jednak „oblać” egzamin lub opuścić wykład. Było to bardzo trudne, bowiem większość z nas pracowała. Zawsze po zajęciach w szkole, biegłam na Smulikowskiego, aby wysłuchać ciekawego wykładu — poznać coś nowego, często odkrywczego, bowiem pracownicy instytutu wprowadzali do pedagogiki wiele innowacji.

Nie tylko uczyliśmy się, ale także bawiliśmy, kwitło życie towarzyskie. W mojej grupie panowała wspaniała atmosfera. Na porządku dziennym były wspólne tańce. Nauczyciel musiał przecież posiadać także umiejętności muzyczne. Przy akompaniowaniu pianina i skrzypiec wysmienicie bawiliśmy się.

Patrząc z perspektywy kilkudziesięciu lat na moje studia w instytucie wydaje mi się, iż najważniejsze doświadczenie, które było przydatne przez całe moje życie, wiązało się z wpojeniem nam przez profesorów systematyczności, odpowiedzialności, rzetelności. Nie do pomyślenia było na przykład ściąganie. Cokolwiek robiliśmy, chcieliśmy to zrobić jak najlepiej, aby udowodnić, że jesteśmy ludźmi ambitnymi z otwartymi głowami. Profesorowie zawsze powtarzali, że powinniśmy być jak drożdże — inspirować innych do twórczej pracy.

Notował
MAREK KOZUBAL

NASZ LEKSYKON



DOKOŃCZENIE ZE STR. 8

Polskich Szkół Średnich w Tarnopolu, a następnie w Rzeszowie. Po powstaniu ZNP pracował w sekcji szkolnictwa średniego. Pełnił funkcje sekretarza, a następnie przewodniczącego sekcji na miasto Rzeszów.

Od 1944 r. działał na rzecz odbudowy szkolnictwa i ogniw związkowych. Już w październiku 1945 r. był organizatorem Sekcji Szkolnictwa Średniego Ogólnokształcącego, która ukonstytuowała się jako jedna z pierwszych. Od 1948 r. był członkiem Zarządu Okręgu ZNP. W 1949 r. wybrany został prezesem Zarządu Oddziału ZNP w Rzeszowie, a w roku 1950 — prezesem Zarządu Okręgu. Funkcje te pełnił do 1953 r.

Zmarł w 1972 roku.

JÓZEF KASZUBA

Nauczyciel i działacz związkowy. Wiceprezes Zarządu Okręgu w Rzeszowie. Przewodniczący Okręgowej Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP w Rzeszowie. Członek prezydium Krajowej Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP.

Urodził się w 1932 r. w Bziance koło Rzeszowa. Zdobyl wykształcenie wyższe. Pracę zawodową rozpoczął w Szkole Podstawowej w Budziwoju.

Członkiem Związku jest od 1950 roku. W 1952 r. został urlopowany do pracy w Oddziale Powiatowym ZNP w Rzeszowie, gdzie pełnił funkcję kierownika szkolenia pedagogicznego. Po dwóch latach pracy na tym stanowisku — na własną prośbę — przechodzi do pracy nauczycielskiej w Szkole Podstawowej w Przybyszowce. Tutaj był prezesem Ogniska, a później — prezesem Rady Zakładowej ZNP. Przez 25 lat pełnił funkcję prezesa Kasy Zapomogowo-Pozyczkowej ZNP w Rzeszowie (dla powiatu rzeszowskiego). Pracując w Przybyszowce był inicjatorem budowy szkoły dla uczczenia 1000-lecia Państwa Polskiego.

W 1975 roku zostaje wiceprezesem Rady Zakładowej ZNP w Rzeszowie. W 1980 roku powierzono mu funkcję prezesa Rady Zakładowej, a później Oddziału ZNP w Rzeszowie. Jednocześnie był wiceprezesem Zarządu Okręgu ZNP, którą to funkcję pełnił do momentu zawieszenia Związku, tj. do grudnia 1981 roku. Po zawieszeniu działalności ZNP pracował jako nauczyciel w V Liceum Ogólnokształcącym w Rzeszowie; od 1982 r. jest wicedyrektorem Szkoły Podstawowej nr 16 w Rzeszowie.

Ciesząc się dużym autorytetem środowiska nauczycieli emerytów — od 12 lat pełni (z wyboru) funkcję przewodniczącego Okręgowej Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP w Rzeszowie oraz członka Prezydium Zarządu Okręgu ZNP. W poprzedniej kadencji był członkiem Zarządu Krajowej Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP, a w wrześniu 1994 roku — na Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej Krajowej Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP — został wybrany na członka prezydium Zarządu Krajowej Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP, z ramienia której koordynuje na szczeblu krajowym działalność Kół i Klubów byłych Nauczycieli Tajnego Nauczania.

Józef Kaszuba został wpisany do księgi „Zasługi dla oświaty i wychowania województwa rzeszowskiego”.

STANISŁAW RUSZNICA

Nauczyciel i działacz związkowy. Prezes Zarządu Okręgu w Rzeszowie. Delegat na krajowe zjazdy ZNP. Od 1993 roku poseł na Sejm RP.

Autor artykułów i publikacji z zakresu pedagogiki oraz dydaktyki fizyki.

Urodził się w 1947 roku w Wysokiej k. Rzeszowa. Absolwent Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Konarskiego w Rzeszowie. Tu pracuje w organizacjach młodzieżowych, szczególnie w Związku Harcerstwa Polskiego — organizacji, której pozostaje wierny jako instruktor do dnia dzisiejszego. Naukę kontynuuje w Studium Nauczycielskim, a później w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie. Zdobyl II stopień specjalizacji zawodowej, ukończył również studium podyplomowe z organizacji i zarządzania oświatą.

Jest nauczycielem fizyki, autorem kilkudziesięciu artykułów z zakresu pedagogiki oraz dydaktyki fizyki. Współautor kilku pozycji książkowych stanowiących pokłosie kilkunastu międzywojewódzkich konferencji metodycznych dla nauczycieli polu dniowo-wschodniej Polski. Współtwórca dwóch zestawów pomocy dydaktycznych do fizyki, przeznaczonych dla szkół podstawowych i ponadpodstawowych. W Instytucie Pedagogiki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie prowadzi zajęcia z technologii kształcenia.

Do ZNP wstępuje z chwilą rozpoczęcia pracy nauczycielskiej. Już w 1975 r. zostaje wybrany w skład prezydium Miejskiej Rady Zakładowej ZNP w Rzeszowie. W tym też czasie pełni funkcję dyrektora Młodzieżowego Domu Kultury, a później dyrektora Szkoły Podstawowej nr 19 w Rzeszowie. W kwietniu 1983 r., na I Konferencji Programowo-Wyborczej ZNP w Rzeszowie, wybrano go na członka zarządu prezydium Oddziału ZNP, a w październiku — na Okręgowej Konferencji ZNP — zostaje członkiem Zarządu Okręgu ZNP. Przez kilka lat jest wiceprezesem, a od 1986 r. — prezesem Zarządu Okręgu ZNP w Rzeszowie. Początkowo praca w reaktywowanym po 13 grudnia 1981 r. Związku była bardzo trudna. Stanisław Rusznica, wraz z innymi działaczami, dokonuje odnowy ruchu zawodowego na terenie województwa rzeszowskiego.

Przez wiele lat (od 1985 r.) pełnił także funkcję wiceprzewodniczącego Wojewódzkiego Porozumienia Związków Zawodowych w Rzeszowie. Od chwili reaktywowania struktur ZNP i utworzenia OPZZ jest delegatem na wszystkie zjazdy ZNP oraz kongres OPZZ. Przez jedną kadencję (1973—77) był radnym Miejskiej Rady Narodowej oraz radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie (1988—90). W tej ostatniej był członkiem prezydium oraz przewodniczącym Komisji ds. Młodzieży, Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki.

W 1993 roku wyborcy okręgu rzeszowskiego powierzają Stanisławowi Rusznicie mandat posła na Sejm RP.

Opracowała H.W.



To nie są łatwe czasy dla stosujących prawo: dyrektorów, administracji, gmin. Powodów jest co najmniej kilka — ale niewątpliwie jednym z najważniejszych jest permanentna zmiana przepisów. Niestety, odbywa się to w drodze ewolucji (a nie rewolucji) co powoduje, że prawie wszystkie ustawy i przepisy wykonawcze do nich są ciągle nowelizowane. Karta Nauczyciela jest już zmieniana, i to dosyć gruntownie, dwudziesty raz! Także Kodeks pracy, który jest ustawą zasadniczą w sferze prawa pracy, po półtorarocznej pracy w Komisji Nadzwyczajnej ds. Nowelizowania Kodeksu — ulegnie ogromnym zmianom.

Zdarza się, że między jedną a drugą nowelizacją znikają pewne instytucje prawa pracy lub powstają nowe i... znów powstaje bałagan. Bardzo często sami legislatorzy długo zastanawiają się jak połączyć stare z nowym tak, żeby to miało sens. Niestety, często powstają ustawy eklektyczne — to znaczy komponowane z „detali” przepisów wziętych z kilku epok. To sprawia, że przepisy są wtedy mało czytelne, a czasami niespójne, co w praktyce następcza najwięcej trudności.

Z prawem oświatowym, regulującym m.in. stosunki pracy nauczycieli i innych pracowników, niejako w biegu zapoznają się pracownicy gmin zarządzający oświatą. Niektórzy nie mają z tym żadnych kłopotów, inni przeciwnie, wciąż borykają się z właściwym odczytaniem i tekstów ustawy, i intencji ustawodawcy — co zwykle prowadzi do nieporozumień między dyrektorem szkoły a gminą.

Wiele instytucji zarówno tworzących prawo jak i stowiących wykładnię już obowiązujących przepisów — np. Sąd Najwyższy bardzo ostatnio zdynamizowali swoją pracę. Szczególnie aktywny jest właśnie SN, który coraz częściej zmienia swoje orzeczenia (w tej samej sprawie) obowiązujące dotychczas. A praktycy zmagają się wciąż ze starym problemem — czyli zbyt wolnym przepływem informacji. Dotychczas najbardziej narzekano na nerwagiczny odcinek komunikacyjny — między kuratorium a szkołą. Przekazywanie najnowszych przepisów i pism MEN oraz innych organów administracji jest jednym z koniecznych warunków sprawnego i bezkolizyjnego zarządzania. Dyrektorzy co prawda twierdzą, że ten potok informacji jest coraz bardziej wartki, bo sprzyja temu wynalazki telekomunikacyjne, ale dodają: trudno mówić o zalewie informacji i to w odpowiednim czasie... Zwracanie nurtu, czyli przekazywanie złożonych i trudnych problemów prawnych ze szkół do resortów, nie zawsze przynosi oczekiwane efekty. Problemy giną gdzieś w powodzi spraw. Mamy nadzieję, że uda się nam pomóc Państwu. Na tej właśnie kolumnie będziemy prosić o wyjaśnienia wszelkich wątpliwości z zakresu szeroko pojętego prawa pracy (choć nie tylko) specjalistów z MEN, ministerstwa pracy, ZUS i wielu innych instytucji i urzędów. Zwykle przepisy ukazują się w naszych organach promulgacyjnych prawie równocześnie z ich wejściem w życie, dlatego postaramy się publikować je z pewnym wyprzedzeniem.

Wiemy, że dużym zainteresowaniem cieszą się materiały relacjonujące bądź komentujące przebieg prac nad nowymi przepisami powstającymi w resortach i później dyskutowanymi w komisjach sejmowych. I tu będziemy trzymać rękę na pulsie!

Na tej kolumnie znajdziecie oprócz informacji także komentarze, opinie oraz rozmowy na bardzo konkretne tematy. Czekamy więc na propozycje. Mamy głęboką nadzieję, że będziemy ją redagować wspólnie, by co tydzień, począwszy od 1 grudnia, być bliżej prawa...

AD REM...

JA, DYREKTOR

Jeden z dyrektorów powiedział mi, że owszem, zdarzy się, że pracodawcą bywa, natomiast z całą pewnością pracodawcą nie jest. — Bo przecież także w sprawach kadrowych — mówi — muszę się konsultować z wójtem i każdą umowę o pracę z nauczycielem podpisuję „po uzgodnieniu” lub „po zasięgnięciu opinii”. Oczywiście, do sądu pracy chodzę już sam, dodaję. No właśnie...

Znowelizowana ustawa oświatowa bardzo wyraźnie precyzuje kompetencje dyrektora jako pracodawcy i dosyć klarownie określa, jaki pośredni wpływ na jego decyzje kadrowe może mieć (bo nie musi) organ prowadzący (w zdecydowanej większości chodzi tu o gminę), a także rada szkoły oraz rada pedagogiczna. Po wnikliwej lekturze tej ustawy trzeba uczciwie przyznać, że to, czy dyrektor utrzyma swoją suwerenność jako pracodawca w dużej mierze zależy od niego.

Od wielu lat dyrektorzy domagali się takiego usytuowania ustawowego, aby samodzielnie mogli prowadzić politykę kadrową. I proszę, mamy art. 39 ust. 3 ustawy o systemie oświaty, który wyraża *expressis verbis*, że dyrektor jest kierownikiem zakładu pracy dla zatrudnionych

w szkole lub placówce nauczycieli oraz pozostałych pracowników. A więc samodzielnie zatrudnia i zwalnia nauczycieli oraz innych pracowników szkoły lub placówki. Przyznaje nagrody, a także wymierza kary porządkowe wszystkim pracownikom, w tym nauczycielom (zgodnie z postanowieniami Kodeksu pracy). Występuje też z wnioskami o odznaczenia, nagrody i inne wyróżnienia po zasięgnięciu opinii rady pedagogicznej i rady szkoły. I chyba dlatego, by dyrektor zupełnie się „nie rozbestwił” ustawa przypomina tylko, że w powołaniu i zwolnieniu nauczycieli, radą pedagogiczną, rodzicami i samorządem uczniowskim. Trudno sobie wyobrazić, aby mogło być inaczej...

Czytając pilnie ustawę trudno znaleźć zapis, z którego by wynikało, że w sferze kadrowej jakiegokolwiek ciała może współdecydować lub wywierać znaczący wpływ przy obsadzie kadrowej mając do tego umocowanie ustawowe. Wszelkie opowieści o tym, że i politykę i całą procedurę kadrową prowadzi wójt lub burmistrz w sensie formalnym są po prostu nieprawdziwe. Tenże organ prowadzący szkołę lub placówkę (gmina) sprawuje nadzór tylko „nad jej działalnością w za-

kresie spraw finansowych i administracyjnych”. Mówi o tym art. 34 a. Przede wszystkim sprawdza czy szkoła właściwie dysponuje przyznanymi jej środkami, czy przestrzegają obowiązujące przepisy dotyczące bezpieczeństwa i higieny pracy zarówno nauczycieli, jak i uczniów oraz przepisy dotyczące samej organizacji pracy w szkole.

Potocznie mówi się, że gmina ocenia pracę dyrektora, niestety nie dodaje się o jaką ocenę chodzi i czego ona dotyczy. Sądzę, że warto tutaj podkreślić, że gmina może oceniać pracę dyrektora tylko jako zarządzającego finansami i administracją. Nie może więc być mowy o jakimkolwiek „uzgodnieniu” lub „porozumieniu” z wójtem lub burmistrzem w sprawach kadrowych.

Dokonując pewnych ruchów kadrowych, dyrektor nie musi się konsultować przynajmniej w sposób formalny z gminą, także i z tego powodu, że to on dysponuje środkami określonymi w planie finansowym szkoły. Nieprawdą jest, że gmina musi się czuć także zaangażowaną przy zatrudnianiu lub przenoszeniu nauczycieli, gdyż ona płaci. Wydaje się, że wprowadzanie przez niektóre gminy lub dyrektorów różnych form uzgodnień decyzji kadrowych wynika także z przyzwyczajenia, że kiedyś w sposób formalny lub nie, ktoś jednak współdecydował, np. inspektor, kurator, etc.

Tylko pośrednio na politykę kadrową może także wpływać rada peda-

gogiczna. W myśl ustawy do jej kompetencji należy m.in. zatwierdzanie planów pracy po zaopiniowaniu przez radę szkoły, a także poprzez opiniowanie np. propozycji dyrektora w sprawach przydziału nauczycielom stałych prac i zajęć w ramach wynagrodzenia zasadniczego oraz dodatków płatnych zajęć dydaktycznych, wychowawczych i opiekuńczych. Rada może także opiniować wnioski dyrektora o przyznawanie nauczycielom odznaczeń, nagród i wyróżnień. Ale i w tym wypadku pozycja dyrektora jest mocna, albowiem może wstrzymać wykonywanie uchwał podjętych przez radę pedagogiczną, jeżeli uzna, że są niezgodne z przepisami. Rozstrzyga ten spór organ sprawujący nadzór pedagogiczny.

Także rada szkoły, będąca ciałem społecznym, może oddziaływać pośrednio na politykę kadrową szkoły, np. poprzez opiniowanie planu pracy szkoły, projektów innowacyjnych, co oczywiście może się wiązać z pewnymi propozycjami kadrowymi... ale nie ponadto.

Tę odporność na „daleko idącą chęć współpracy” gminy z dyrektorem szkoły w sprawach kadrowych należy sobie wybrać choćby z jednego bardzo ważnego powodu. W myśl ustawy dyrektor podejmuje decyzje, a potem tylko on zgodnie z Kartą i Kodeksem pracy odpowiada za nie. O tym warto pamiętać zwłaszcza teraz, gdy od 1 stycznia przyszedł układać sobie współpracę z nowym partnerem.

TAK CZY NIE

CHORY NA ETACIE ZDROWY NA POŁÓWCE

Dotychczas sprawa była nader prosta. Jeżeli nauczyciel (lub inny pracownik) w czasie pobierania zasiłku chorobowego podjął jakiegokolwiek pracę zarobkową — automatycznie tracił prawo do zasiłku. Te zasady stosowano i taktycznie nie, że nawet wówczas, gdy lekarz zalecał pracę w celach terapeutycznych (np. przy zawale), a wyszło na jaw, że była ona gratyfikowana — zasiłek odbierano. Art. 18 ustawy o świadczeniach pieniężnych z ubezpieczenia społecznego w razie choroby i macierzyństwa czytano wprost: pracownik traci prawo do zasiłku jeżeli:

* wykonuje w czasie zwolnienia lekarskiego inną pracę zarobkową;

* gdy podejmuje uciążliwe czynności mogące przedłużyć czas trwania choroby;

* gdy wykorzystuje zwolnienie w sposób niezgodny z jego celem (wbrew zaleceniu lekarza).

Wstrzymywano wypłacanie zasiłku i co było jeszcze bardziej dotkliwie, występowało o zwrot pobranego tak-

że wówczas, jeżeli nauczyciel pracujący na etacie w jednej szkole i dodatkowo np. na półowce w bibliotece w innej placówce — przedstawił zwolnienie tylko w szkole pobierając zasiłek, nie korzystał natomiast z zaświadczenia lekarskiego w przypadku dodatkowego zatrudnienia. Konsekwentnie nie brał zasiłku.

I tu pojawiły się wątpliwości: czy praca w jednym z zakładów (szkół) w czasie zwolnienia lekarskiego może być uznawana za „inną pracę zarobkową” — pozbawiającą pracownika zasiłku w drugim miejscu pracy? — o której mówi wspomniany art. 18. To pytanie skierowano do Sądu Najwyższego.

Z uchwały z 20 stycznia 1995 r. (sygn. akt II UZP 28/94) SN wynika, że nie zawsze kontynuowanie tej drugiej pracy musi prowadzić do utraty zasiłku. SN wyraża pogląd, że gdy pracownik jest zatrudniony w dwóch zakładach, i w jednym korzysta ze zwolnienia lekarskiego, a w drugim pracuje nadal, nie wykonuje „innej pracy

zarobkowej” (w myśl art. 18), a więc nie traci prawa do zasiłku. Ujmując rzecz krótko: w czasie korzystania z zasiłku w jednym zakładzie — może pracować w drugim, nie pobierając tam zasiłku. Jeżeli jednak ta praca w drugim zakładzie jest uciążliwa i może przedłużyć okres niezdolności do pracy albo jest niezgodna z celem tego zwolnienia (jeżeli np. lekarz zaleca leżenie) wówczas pracownik traci prawo do zasiłku.

Zdaniem SN ocenić czy ta praca jest uciążliwa czy też niezgodna z zaleceniem na L-4 — może tylko lekarz. O tym, czy naruszenie przez pracownika wskazań lekarskich należy traktować jako wykorzystywanie zwolnienia niezgodnie z jego celem rozstrzyga lekarz, który go udzielił, wpisując swoją opinię do karty choroby.

SN podkreśla też w uzasadnieniu, że o niezdolności do pracy nie można wyrokować opierając się na obiektywnych kryteriach albowiem, o niej z jednej strony decyduje zarówno określony stan chorobowy jak i jego

nasilenie, z drugiej natomiast struktura psychofizyczna chorego oraz charakter wykonywanej przez niego pracy. Są więc nie tylko możliwe, ale i prawdopodobne sytuacje, że pracownik wykonujący w dwóch zakładach pracy zatrudnienie, staje się niezdolny do jednej pracy, a zachowuje zdolność do wykonywania drugiej.

Takie „możliwe” sytuacje zdarzają się bardzo często właśnie w oświacie. Polonista pracujący na pełnym etacie w szkole i cierpiący na schorzenia strun głosowych nie może uczyć, natomiast będzie mógł spokojnie pracować w zaciężnej bibliotece, w miejscowym domu kultury. I wówczas, przedstawiając zwolnienie lekarskie w szkole, będzie mógł pobierać zasiłek, mimo że pracuje w bibliotece.

SN zwraca także uwagę na bardzo istotny moment. Otóż pracownik może przedstawić zwolnienie w obu zakładach i pobierać w jednym i drugim zasiłek. Nie może natomiast decydować o tym, czy chcąc zachować prawo do zasiłku będzie mógł pracować w drugim zakładzie o tym decyduje lekarz orzekający — o czym już mówiliśmy — czy ta druga praca nie jest uciążliwa i niezgodna z zaleceniami lekarskimi. Od opinii lekarza można się oczywiście odwołać do sądu pracy.

MAŁE VADEMECUM

JAK PRZELICZYĆ ZASIŁEK

Z przeliczaniem zasiłków mamy „wieczne” kłopoty. Wiąże się to także z tym, że prawo do zasiłku ustalone jest na dwa półrocza: od 1 marca do 31 sierpnia i od 1 września do ostatniego dnia lutego.

Starając się o zasiłek po raz pierwszy należy złożyć wniosek i oświadczenie o dochodach rodziny. Natomiast na kolejny okres trzeba dostarczyć tylko oświadczenie o dochodach (na druku ZUS Z-14). Osoba uprawniona do zasiłku składa takie oświadczenie pracodawcy (w zakładach zatrudniających co najmniej 5 pracowników) który bada uprawnienia do zasiłku i jego wysokości. W przypadku dzieci powyżej 16 lat należy ponadto okazać dokument lub złożyć oświadczenie, że dziecko chodzi do szkoły w danym roku szkolnym.

Dochód w rodzinie

Od 1 września 1995 roku zasiłek wynoszący 21 zł będzie przysługiwał, jeżeli przeciętny miesięczny dochód, w przeliczeniu na osobę w rodzinie, osiągnięty w I i II kwartale nie przekroczył 342,45 zł. Mimo pewnego przekroczenia tej granicy tylko w jednym wypadku zasiłek dalej przysługuje (w tym momencie jest najwięcej nieporozumień). Otóż zasiłek będzie dalej wypłacany o ile łączna suma

przekroczenia dochodu przypadająca na wszystkich członków rodziny jest niższa od kwoty wszystkich zasiłków, które przysługiwałyby na poszczególnych jej członków, np. na dwoje dzieci. Uwaga: zasada ta jednak obowiązuje tylko wówczas, gdy prawem do zasiłku przysługiwało w poprzednim okresie, czyli zasiłek był już pobierany. A zatem jeżeli dopiero występujemy z wnioskiem o przyznanie zasiłku, a przeciętny miesięczny dochód przekracza określoną kwotę, nie możemy liczyć na zastosowanie tej zasady.

Uwzględnianie dochodów

Przy ustalaniu prawa do zasiłków uwzględnia się dochody osiągnięte przez osobę ubiegającą się o zasiłek np. matkę, małżonka oraz dzieci pozostające we wspólnym gospodarstwie domowym. Wszystkie dochody — niezależnie jaki jest ich tytuł i źródło pochodzenia — bierze się brutto (zarówno to opodatkowane jak i zwolnione od niego).

Po stronie dochodów nie uwzględniane są wszystkie świadczenia wynikające z przepisów dotyczących bezpieczeństwa i higieny pracy, a więc wszystkie ekwiwalenty za te świadczenia, kwoty otrzymywane z tytułu kosztów używania własnych samochodów dla potrzeb zakładu pracy,

diety oraz dodatki za rozłąkę, a także inne należności związane z podróżą służbową, dopłaty za dojazdy pracowników do pracy, jak również wartość dopłat z tytułu realizacji uprawnień do ulgowych lub bezpłatnych dojazdów do pracy środkami komunikacji — przysługującym także członkom rodziny.

Zgodnie z ustawą do dochodu, od którego uzależnione jest prawo do zasiłku nie wlicza się: zasiłków rodzinnych, pielęgnacyjnych i pogrzebowych, różnego rodzaju odszkodowań otrzymywanych na podstawie przepisów prawa administracyjnego, cywilnego itd. Ponadto nie powinny być uwzględnione sumy otrzymane z tytułu ubezpieczeń majątkowych i osobowych, wszelkich świadczeń z pomocy społecznej oraz zapomóg wypłacanych ze środków zakładowych funduszy i związkowych, a także z innych źródeł — w wypadku indywidualnych zdarzeń losowych, klęsk żywiołowych, długotrwałej choroby lub śmierci. Nie wlicza się także: odpraw pośmiertnych, dopłat z zakładowego funduszu socjalnego do zorganizowanego wypoczynku: kolonii, obozów i zimowisk, pobytu na leczeniu sanatoryjnym, przejazdów związanych z wypoczynkiem i leczeniem dzieci do lat 18. Pomija się także te świadczenia okolicznościowe jak np. paczki świąteczne dla dzieci, bilety na imprezy, ale tylko do wysokości nie przekraczającej w ciągu roku kwoty najniższego wynagrodzenia obowiązującego w grudniu poprzedniego roku (to oznacza, że w 1995 roku, wartość tych gratyfikacji nie może przekraczać 240 zł). Nie uwzględnia się także wartości opłat ponoszonych przez zakłady za szkolenie i podwyższanie kwalifikacji pracownika, a tak-

że różnego rodzaju odsetek od wkładów oszczędnościowych, obligacji itp. oraz pożyczek lub kredytów, które nie zostały umorzone (uwaga: w razie umorzenia stają się dochodem).

Z dochodu rodziny nie wlicza się dopłat z zakładowego funduszu socjalnego i innych źródeł, jeżeli przeznaczone one są na wczasowy wypoczynek i inne formy wypoczynku.

Jeżeli któryś z członków rodziny, pozostający we wspólnym gospodarstwie, pracował np. w I i II kwartale, a potem utracił pracę i dochody z nią związane, a stało się to przed datą zgłoszenia wniosku o ustalenie prawa do zasiłku, tych jego dochodów nie wlicza się przy ustalaniu zasiłku. Może się tak jednak zdarzyć, że ktoś traci pracę i nabywa prawo do zasiłku dla bezrobotnych i wówczas jego dochody z I i II kwartału wlicza się.

Często tak się zdarza, że w okresie, z którego dochód podlega uwzględnieniu przy ustalaniu zasiłku wypłacana jest np. nagroda jubileuszowa, ekwiwalent za urlop wypoczynkowy albo trzynastka i w takich przypadkach dochody te uwzględnia się w części proporcjonalnej do okresu, za jaki zostały wypłacone. Jeżeli więc w I kwartale '95 wypłacono np. małżonkowi „trzynastkę” to dochody należy wliczyć w wysokości 1/12 do każdego miesiąca, czyli uwzględniany dochód za dwa kwarty będzie wynosił 6/12.

Na koniec istotna uwaga: pobierający zasiłek jest zobowiązany na bieżąco informować pracodawcę o przekroczeniu dochodu przypadającego na członka rodziny. Nie wypełnienie tego obowiązku oznacza, że po ujawnieniu tego przekroczenia trzeba będzie zwrócić część zasiłku wraz z odsetkami.

ILE FISKUSOWI ZA POGADANKĘ?

Od pewnego czasu, zwłaszcza w Sejmie (ostatnio w komisji budżetowej), pojawiają się wątpliwości czy osoby, które wygłaszają wykłady, odczyty, pogadanki itd. mogą korzystać z przywileju płacenia niższego podatku. Niektórzy mają wątpliwości czy jest ku temu umocownie ustawowe. Rzeczą dotyczy także nauczycieli, którzy podejmują się przygotowania lub wygłaszania różnych pogadek. Wyjaśniamy więc, że podstawa prawna jest mocna i nie budzi żadnych wątpliwości.

Od uzyskanego wynagrodzenia za ową pogadankę płaci się połowę podatku. Wynika to z art. 22 ust. 9 pkt. 3 ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych, gdzie ustalono, że „koszty uzyskania przychodów z tytułu korzystania przez twórców z praw autorskich wynoszą 50 proc. przychodu”, czyli mówiąc wprost opodatkowywana jest połowa należnej kwoty.

Przeciwnicy tej ulgi mają ponadto wątpliwości czy owi wykładowcy mogą korzystać z praw autorskich. Zaczniemy więc od wyjaśnienia pojęcia utworu określonego ustawą z 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych. Znajdziemy tam zapis mówiący o tym, że przedmiotem prawa autorskiego jest każdy przejaw działalności twórczej o indywidualnym charakterze, ustalony w jakiegokolwiek postaci, niezależnie od wartości, przeznaczenia, sposobu wyrażania.

W tej formule mieści się utwór autorski polegający na przygotowaniu i wygłoszeniu wykładu, pogadanki itd. Aby nie było wątpliwości kropkę nad i, w tej kwestii, postawił resort finansów twierdząc, że przygotowanie i wygłoszenie wykładu jest „przejawem działalności o indywidualnym charakterze”, a konsekwencją tej konstatacji musi być potrącenie z należnego wynagrodzenia 50 proc. tzw. kosztów przychodu. Według resortu finansów zasada potrącania kosztów przychodu obowiązuje od 24 maja 1994 r. (wejście w życie prawa autorskiego).

DODATKOWE ZATRUDNIENIE

Chciałbym się dowiedzieć, jak kształtują się prawa pracowników, w tym też nauczycieli, dodatkowo zatrudnionych np. do nagród jubileuszowych, urlopów szkoleniowych i tym podobnych świadczeń? (U.P. — woj. suwalskie)

Prawo do takich świadczeń pracowniczych jak dodatek za staż pracy lub nagroda jubileuszowa nie jest uprawnieniem powszechnym, tzn. przysługującym na podstawie np. przepisów kodeksu pracy wszystkim pracownikom. Świadczenia należą do tzw. dodatkowych składników wynagrodzenia za pracę. Zasady ich przyznawania określają przepisy prawne dotyczące danej grupy zawodowej, np. Karta Nauczyciela i zarządzenie MEN z dnia 22 czerwca 1995 r. w sprawie wynagradzania nauczycieli w stosunku do nauczycieli oraz zarządzenie ministra pracy i polityki społecznej z dnia 13 maja 1994 r. w sprawie zasad wynagradzania i innych świadczeń dla pracowników nie będących nauczycielami, zatrudnionych w przedszkolach, szkołach i innych placówkach w stosunku do pracowników obsługi i administracji w szkołach.

Jeżeli chodzi o zasady wypłacania nagród jubileuszowych oraz zasady ustalania okresów uprawniających do nagrody jubileuszowej to są one określone w zarządzeniu ministra pracy i polityki społecznej z dnia 22 grudnia 1989 r. — M.P. Nr 44, poz. 358. Przepisy tego aktu prawnego są stosowane, gdy wspomniane wyżej pragmatyki służbowe przewidują nagrody jubileuszowe, mają one również zastosowanie do dodatkowego zatrudnienia. Par. 3 wspomnianego zarządzenia z dnia 22 grudnia 1989 r. stanowi, że pracownikowi pozostającemu jednocześnie w więcej niż jednym stosunku pracy, okresy uprawniające do nagrody jubileuszowej ustala się odrębnie dla każdego stosunku pracy. Do okresu zatrudnienia uprawniającego do nagrody nie wlicza się okresu pracy w innym zakładzie, w którym pracownik był lub jest równocześnie zatrudniony.

Jeżeli chodzi o wysokość nagrody jubileuszowej, to nawet wtedy, gdy pracownik nabędzie prawo do nagrody w każdym z zakładów pracy, w którym jest jednocześnie zatrudniony, wysokość nagrody będzie uzależniona od wynagrodzenia otrzymywanego w danym zakładzie pracy, a nie od sumy wszystkich wynagrodzeń. Ten zakaz sumowania może być jednak uchylony w układzie zbiorowym pracy.

W stosunku do urlopów szkoleniowych należy stwierdzić, że przepisy rozporządzenia ministra edukacji narodowej oraz ministra pracy i polityki społecznej z dnia 12 października 1993 r. w sprawie zasad i warunków podnoszenia kwalifikacji zawodowych i wykształcenia ogólnego pracowników (Dz.U. Nr 10, poz. 472) oraz przepisy zarządzenia ministra edukacji narodowej z dnia 28 lipca 1989 r. w sprawie zasad udzielania nauczycielom urlopów na kształcenie się, dla celów naukowych, artystycznych, oświatowych i innych ważnych przyczyn oraz ulg i świadczeń związanych z tym kształceniem (M.P. Nr 22, poz. 215) mogą być stosowane nie tylko do

jednego podstawowego stosunku pracy. To znaczy, że nauczyciele i inni pracownicy mogą podnosić swoje kwalifikacje także na podstawie skierowania z dodatkowego miejsca pracy.

DODATKOWE ZATRUDNIENIE A UMOWA ZLECENIE

Czy zatrudniając nauczyciela pracującego w naszej szkole na podstawie umowy zlecenia musimy odprowadzać składkę na ubezpieczenie społeczne? (P.P. — woj. lubelskie)

Art. 1 ust. 3 ustawy z dnia 18 listopada 1994 r. o zmianie ustawy o ubezpieczeniu społecznym osób wykonujących pracę na podstawie umów zlecenia i agencyjnych (Dz.U. Nr 133, poz. 686) stanowi, że dochód z tytułu umowy zawartej ze zleceniodawcą, u którego osoba wykonująca pracę jest także pracownikiem uważa się w rozumieniu zasad ubezpieczenia społecznego za wynagrodzenie z tytułu zatrudnienia niezależnie od okresu, na który umowa zlecenia została zawarta oraz wymiar czasu pracy w ramach stosunku pracy. Reguła ta obejmuje wszystkich pracowników pracujących w zakładzie pracy, który równocześnie jest zleceniodawcą. Tak więc wliczanie dochodu uzyskanego na podstawie umowy zlecenia, do wynagrodzenia ze stosunku pracy dotyczy także pracowników zatrudnionych w danym zakładzie pracy w niepełnym wymiarze czasu pracy lub zatrudnionych dodatkowo.

W rozumieniu powyższych regulacji zakład pracy jest zobowiązany odprowadzać składkę na ubezpieczenie społeczne od wynagrodzenia, w którym uwzględniono także wynagrodzenie z tytułu prac zleconych.

Pragnę jednak zaznaczyć, że praca wykonywana na podstawie umowy zlecenia jest tzw. dodatkową pracą zarobkową, a nie staje się dodatkowym zatrudnieniem, tak więc nie pociąga za sobą innych uprawnień pracowniczych, poza tym, że dochód uzyskany z tej pracy zostaje doliczany do wynagrodzenia z tytułu pracy, co w konsekwencji wpłynie na uprawnienie pracownika związane ze świadczeniami z ubezpieczenia społecznego. Jeżeli zaś chodzi o zatrudnionych w innych zakładach pracy, obowiązek opłacania składek na ubezpieczenie społeczne nie istnieje, jeżeli są oni zatrudnieni w pełnym wymiarze czasu pracy. Przy czym, może to być pełny wymiar w jednym zatrudnieniu lub łączny wymiar w razie istnienia kilku stosunków pracy.

URLOP

DLA PORATOWANIA ZDROWIA

Za zgodą dyrektora szkoły wystąpiłam do komisji lekarskiej o skierowanie mnie na urlop dla poratowania zdrowia, jednak od-

mówiono mi, gdyż nie jestem nauczycielem mianowanym. Co mam robić? (B.B. — woj. walbrzyskie)

Art. 73 Karty Nauczyciela stanowi, że nauczycielowi zatrudnionemu w pełnym wymiarze zajęć po przepracowaniu co najmniej 3 lat w szkole dyrektor szkoły udziela płatnego urlopu dla poratowania zdrowia, o ile organ społecznej służby zdrowia stwierdzi, że stan zdrowia nauczyciela wymaga powstrzymania się od pracy w celu przeprowadzenia zaleconego leczenia.

Z treści przepisu wynika, że warunkiem uzyskania prawa do urlopu dla poratowania zdrowia jest zatrudnienie w pełnym wymiarze zajęć, a nie posiadanie statusu nauczyciela mianowanego. Z listu Pani wynika, że spełniony jest ten warunek, choć pracuje Pani na tzw. etacie łącznym. Nie są to jednak dwa stosunki pracy powstałe na podstawie dwóch odrębnych umów o pracę. Powoływanie się komisji lekarskiej na wewnętrzne przepisy ZUS-u jest bezpodstawne. Gdyby nawet takie przepisy istniały, nie mogą one ograniczać uprawnień pracowniczych wynikających z przepisów ustawy, a więc aktu nadrzędnego. Jeżeli przysługujące Pani uprawnienia nie będą respektowane, radzimy zwrócić się do Państwowej Inspekcji Pracy.

EKSMISJA

Czy eksmitowany najemca ma prawo do tzw. lokalu socjalnego i kto winien mu go zapewnić? (P.L. — woj. siedleckie)

W stanie faktycznym, opisanym przez Czytelnika w liście, może mieć zastosowanie art. 36 ustawy z dnia 2 lipca 1994 r. o najmie lokali mieszkalnych i dodatkach mieszkaniowych (Dz.U. Nr 105, poz. 509 i z 1995 r. Nr 86, poz. 533), który stanowi, że sąd uwzględniając dotychczasowy sposób korzystania z lokalu przez najemcę, jego szczególną sytuację materialną i rodzinną może w wyroku nakazującym opróżnienie lokalu orzec o uprawnieniu najemcy do otrzymania lokalu socjalnego. Istotny jest tu fakt, że o przyznaniu lokalu socjalnego decyduje sąd, a decyzja ta zależy od uznania sądu. Jeżeli sąd wyda orzeczenie takiej treści, organy gminy są zobowiązane do zapewnienia lokalu socjalnego, a uprawniony na podstawie wyroku ma pierwszeństwo w uzyskaniu lokalu socjalnego, tzn. nie ma tu zastosowania ustalona przez radę gminy kolejność przydziału lokali. Należy też zaznaczyć, że sąd nie orzeka przyznania lokalu socjalnego, jeżeli ochronę najemcy zapewni odroczenie w czasie wykonania obowiązku opróżnienia lokalu.

Wydaje się, że wobec takiej regulacji prawnej, nadal orzeczenia eksmisyjne mogą okazać się praktycznie niewykonalne. Nadto treść takiego orzeczenia jest związana ściśle z istniejącą w chwili orzekania przez sąd sytuacją materialną i rodzinną najemcy, która może następnie ulec istotnym zmianom.

DRODZY CZYTELNICY

Już od wielu lat „Głos Nauczycielski” jako jedyny w Polsce odpowiadał i odpowiada pisemnie na listy Czytelników — pytania związane z prawem i jego stosowaniem. Tę swoją działalność zawsze traktowaliśmy jako szczególną powinność wobec naszych przyjaciół i Czytelników. Nie da się jednak ukryć, iż z czasem, a także wraz z coraz szybciej postępującymi przemianami w kraju, wpadliśmy niejako w pewną własną pułapkę. Oto bowiem okazało się, iż każdego dnia poczta przynosi do naszej redakcji ponad 100 listów z pytaniami do działu prawnego oraz kuponem „Głosu Nauczycielskiego”. Oznacza to, ni mniej ni więcej, jak właśnie prośbę Czytelników o odpowiedź na piśmie, w formie listowej. Nie ma co ukrywać — w ten oto sposób „Głos” i jego dział prawny stał się wręcz kancelarią adwokacką! A jakich wysiłków trzeba dokonywać, aby sprostać tym rosnącym zadaniom... Mimo to, nie udaje nam się, niestety, wywiązać w terminie wobec tak licznej grupy korespondentów. Dla informacji Czytelników może warto podać, iż aby choć zmniejszyć opóźnienia, znacznie zwiększyliśmy koszty związane właśnie z odpowiadaniem na pytania prawnie.

Mimo wszelkich działań i prób w tym względzie nie udało się jednak zlikwidować wszystkich zaległości. Dlatego też zmuszeni jesteśmy zmodyfikować w znacznym stopniu tę formę naszej pracy. Mówiąc najkrócej — po głębszym zastanowieniu się, przeliczeniu wszelkich kosztów, zmierzaniu sił, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko, niestety, zawiesić odpowiedzi indywidualne na pytania naszych Czytelników. Postanowiliśmy to uczynić jednak dopiero z dniem 1 grudnia br., od tego dnia przestaniemy też publikować nasz kupon „Głosu” uprawniający do uzyskania pisemnej odpowiedzi na zgłoszony problem. Do tego czasu mamy nadzieję uporać się ze stosiem zaległych pytań.

Naturalnie, nie oznacza to wcale, iż nie będziemy udzielać pomocy naszym Czytelnikom. Przeciwnie — chcemy bowiem zwiększyć ilość odpowiedzi publikowanych bezpośrednio na łamach naszego tygodnika. Co więcej, w każdym numerze zapowiemy, na jakie pytania i problemy będziemy udzielać odpowiedzi w następnym numerze „Głosu Nauczycielskiego”. Inną formą wyjaśnienia niektórych wątpliwości będzie nasza nowa kolumna, którą tytułujemy „Bliżej prawa”, a która uzupełniać będzie w formie publicystycznej i informacyjnej zamieszczane odpowiedzi na konkretne pytania.

I właśnie tak przedstawiają się nasze plany na bliską przyszłość. Nie ukrywamy jednak, iż w tych sprawach oczekujemy na Wasze — Czytelników głosy, opinie, sugestie. Pragniemy jednocześnie dodać, że jeśli tylko sytuacja się zmieni wrócimy do dawnych form listowych kontaktów z Czytelnikami.

Redakcja

CZYTELNICY

PYTAJĄ

„GŁOS NAUCZYCIELSKI”

NR 46/95

ODPOWIADA

Nasz tygodnik — jako jeden z nielicznych w kraju — udziela od lat bezpłatnych porad prawnych: telefonicznie, listownie, a także na miejscu w redakcji. Z całą satysfakcją będziemy nadal pomagać w trudnych sytuacjach życiowych tym wszystkim, którzy się do nas o to zwrócą, także korespondencyjnie. Pod jednym wszak warunkiem. Do każdej korespondencji z prośbą o udzielenie pisemnej odpowiedzi należy dołączyć oryginalny kupon zamieszczony na tej kolumnie.

„NAUKA” S.A.
PRZEDSIĘBIORSTWO USPOLECZNIONE
00-654 WARSZAWA ul. Śniadeckich 17
TELEFONY: 621-71-24; 621-98-43 FAX: 621-87-18

PRZEDSIĘBIORSTWO NASZE OFERUJE
DO SPRZEDAŻY PO ATRAKCYJNYCH CENACH:

I. Edukacyjne kasety magnetowidowe z filmami:

do nauczania przedmiotów, dokumentalnymi, fabularnymi, z zakresu oświaty zdrowotnej, rysunkowymi dla dzieci oraz programami NURT-u.

Razem 220 pozycji.

Kasety można zakupić w siedzibie P.U. „NAUKA” S.A. lub po złożeniu zamówienia otrzymać przesyłką pocztową.

Kasety można nabyć także

w Przedsiębiorstwach Zaopatrzenia Szkół „CEZAS”.

II. Meble szkolne segmentowe oraz stoły i krzesła uczniowskie, pomoce dydaktyczne produkowane w kraju i z importu.

Meble dostarczamy bezpłatnie, inne towary na koszt Odbiorcy. Na życzenie przesyłamy aktualne katalogi i cenniki.

WARSZTAT RYBACKI
Adam Nowak
42-583 Bobrowniki
ul. Kościuszki 253
tel. (0-3) 187-32-72
fax (0-3) 187-32-72
Siatki sportowe; ochronne do hal sportowych i sal gimnastycznych.
Ceny bez marży, 0% VAT.

DZWONKI SZKOLNE
programowalne, z wyjściem na zegary korytarzowe - od 240zł
TABLICE SPORTOWE,
świetlne, programowalne - od 1800zł
Gwarancja 2 lata. Ceny netto (bez VAT).
Dokumentację wysyłamy bezpłatnie!
Tel. (0-2) 7202220 Fax. 6281369
mgr Inż. Stanisław Gardynik
05-090 Raszyn, Olszowa 68.

RICOH
tanie
kserokopiarki
EKO biuro
0-32-171-55-83
... pani Marzenka

OGŁOSZENIA DROBNE

Magister pedagogiki ze specjalnością wychowanie plastyczne, znajomością informatyki, grafiki komputerowej, z możliwością prowadzenia profilaktyki uzależnień podejmuje pracę w placówkach oświatowych (szkoły, placówki wychowawcze itp.) na terenie całego kraju. Najchętniej z mieszkaniami. Zona ekonomistka. Oferty proszę kierować pod adresem: Tomasz Malolepszy 62-740 Tuliszków, ul. Plac Wolności 38 tel. Tuliszków 113, woj. konińskie.

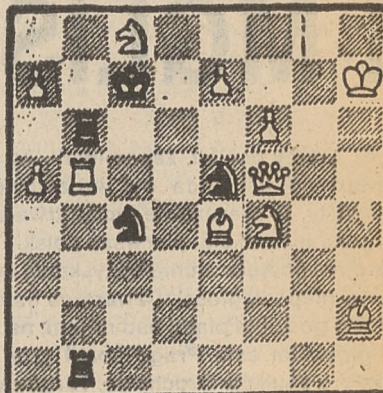
WYTWÓRNIA MEBLI SZKOLNYCH
oferuje po niskich cenach:
• meble szkolne
Zapewniamy Transport. Więcej zamówienia dostarczamy bezpłatnie.
Zamówienia kierować:
Wytwórnia Mebli Szkolnych
62-300 Wronia, ul. Słowackiego 48
tel. (0-66) 361-350

Poszukujemy kandydatów do dystrybucji polis na życie. Zapewniamy przeszkolenie i wysoką prowizję. Zgłoszenia: TWW. 60-957 Poznań 6, Box 46.

PRACOWNIA SZTANDARÓW
L. Mierzejewska
ul. Filtrów 83 m. 49
02-032 Warszawa
tel. 22-24-32

SZACH KRÓLOWI

pod redakcją
BOGDANA KUSIŃSKIEGO
Zadanie nr 45



MAT W DWÓCH POSUNIĘCIACH

Białe: Kh7, H5, Wb5, Sc8, S14, Ge4, Gh2, a5, a7, e7, f6
Czarne: Kc7, Wb1, Wb6, Sc4, Se5

Rozwiązanie zadania prosimy nadsyłać w terminie 14-dniowym pod adresem redakcji

PANORAMA DZIEJÓW CYWILIZACJI
Pomoc dydaktyczna do szkół podstawowych i średnich na lekcje historii. Ułatwi nauczanie, zainteresuje przedmiotem, pomoże uaktywnić uczniów, umożliwi przeprowadzenie wielu ciekawych lekcji.
Komplet 3 plansz demonstracyjnych (66x99 cm) oraz małe (22x99) do indywidualnej pracy uczniów.
Do obejrzenia w **WOM**-ach
Informacji udziela dystrybutor PPHU "Kefas" 02-792 Warszawa 78 skr. poczt. 37, tel. (0-22) 644-61-91, fax (0-22) 643-43-95

„NIEŚMIERTELNIKI SŁUCHU ABSOLUTNEGO”

Kiedy w marcu ubiegłego roku Stanisław Barańczak pisał wstęp do „44 wierszy” Seamusa Heaney’a, które z angielskiego sam przełożył, nie wiedział, że przedstawią noblistę 1995. Oceniał jednak bardzo wysoko tego irlandzkiego liryka. W opinii rodaków zresztą jest to „najważniejszy poeta od czasów Yeatsa”, co w przełożeniu na stosunki polskie oznaczałoby: „pierwszy po Mickiewiczu”.

Informacje o biografii laureata Nobla czerpię głównie z treści wspomnianego szkicu Stanisława Barańczaka. Otóż Seamus Heaney pochodzi z wielodzietnej chłopskiej rodziny. Jego ojciec miał niewielkie gospodarstwo w okręgu Derry w Irlandii Północnej. Wszyscy członkowie tej rodziny bardzo byli ze sobą zżyli. Nic więc dziwnego, że gdy czteroletni brat przyszłego poety zginął, potracił przez samobójstwo, ojciec postanowił porzucić fatalne miejsce i przenieść się na inną farmę. Nieprzypadkowo też debiutancki wiersz Seamusa Heaney’a, noszący niewinny tytuł „Ferie”, odnosi się właśnie do tego tragicznego wypadku.

Rodzina oddana była katolicyzmowi, ale daleka od fanatyzmu. W Ulsterze zaliczano ją do mniejszości etnicznej i religijnej, z tego też powodu Heaneyowie doznawali upokorzeń ze strony brytyjskiego wojska czy protestanckich mieszkańców Irlandii Północnej. Chłopcu nie wróżyło to życiowych powodzeń, a skoro je osiągał, to dzięki pracy, licznym talentom, ruchliwości, a może także dzięki urokowi usposobienia.

Wyróżniał się już jako stypendysta w katolickim liceum w Derry, potem jako świetny student angielskiej na uniwersytecie w Belfaście i w uczelniach pedagogicznych. Przez czas pewien był nauczycielem, wkrótce jednak zaczął wyklądać literaturę angielską na niedawno ukończonym uniwersytecie i publikować wiersze. W 1966 roku znalazły one wydawcę — słynną londyńską oficynę „Faber et Faber”. Autor miał wtedy 27 lat, a kolejne tomy liryków nie kazały na siebie długo czekać. I tak po zbiorze „Śmierć naturalisty” ukazywały się kolejno następujące: „Drzwi w ciemność”, „Zimowanie”, „Północ”, „Praca na roli” i inne. Krytyka angielska i irlandzka nie szczędziła pochwał twórczości poetyckiej Heaney’a, jak również jego publikacji profesora-krytyka. W ogóle bardzo był popularny, ceniony za liczne odczyty i publiczne recytacje wierszy.

Nie brakowało też goryczy. W latach dziewięćset sześćdziesiątych w Irlandii Północnej nasiliły się walki uliczne, rozruchy i masakry. W 1970 ogłosiła swoje powstanie terrorystyczna frakcja IRA. Seamus Heaney deklaratywnie publicznie swój irlandzki patriotyzm (mimo że był poetą języka angielskiego), sprzeciwiał się jednak stanowczo postępowaniu IRA. Do tego uznał, że przemoc pojawia się po obu stronach i wcale nie jest jasne, kto tu „swoi”, a kto „obcy”, kto „wierny”, a kto „odszczepieniec”. Trzeba natomiast ratować człowieka przed obecnością wielkiego zła w jego naturze, zła wpisanego w nią od początku. Próbą udzielenia pomocy może się okazać poezja. Jej się poświęcił obok pracy naukowej.

W 1972 Heaney opuszcza Ulster i przenosi się z żoną i trojgiem dzieci na stałe do republiki Irlandii. Wywołało to mnóstwo komentarzy i chyba pomnożyło jeszcze dobrą sławę poety. Jest już bardzo znany. W Dublinie otrzyma niebawem stanowisko wykładowcy w wyższej szkole pedagogicznej, a nieco później Uniwersytet Harvarda zaprosił go na katedrę studiów nad poezją. Podobnie uczyni Oxford. Heaney czynny jest naukowo w Irlandii, USA i Anglii — i jak tu nie mówić o ruchliwości tego wspaniałego życia? Mimo ustawicznych przenosin z miejsca na miejsce „ostatnie dwanaście lat były dla niego od strony literackiej okresem niesłychanie produktywnym” — stwierdza Barańczak. W USA uważa się Heaney’a za członka „wielkiego kwartetu poetów — obcokrajowców” obok Milosza, Brodskiego i Walcotta.

Seamus Heaney żywo interesuje się przekładami poezji Europy

Srodkowej i Wschodniej. Jest m.in. autorem świetnego szkicu o Zbigniewie Herbertcie. Liryka polska ma w irlandzkim poecie „jednego z najwspanialszych na Zachodzie czytelników” — kończy swój wstęp Stanisław Barańczak.

Do zbioru „44 wierszy” („Znak” ’95) włączył tłumacz i autor opracowania po kilka liryków z każdego z ośmiu tomów poezji Heaney’a. Ukazywały się one od roku 1966 do 1991. Teksty wierszy podano w wersji oryginalnej i w polskim przekładzie. Zwraca uwagę na różnorodność tematów. Dużo tu poezji domowej, portretów osób najbliższych, opisów czynności w chłopskim obejściu czy też prac na polu. Opisy te dalekie są od atmosfery sielanki, ale równie ważne jak widoki „krajny bagien”, w której się poeta wychował. Bagna, torfowiska, błota, w jakie obfituje Irlandia, są jednym z motywów przewodnich liryki Heaney’a. Chodzi przecież o pejzaż obecny w zbiorowej świadomości i w intymnych doznaniach. Oto zastanawiająco piękne słowa, wybrane z dwóch niepodobnych do siebie wierszy: „Wychowaniek” oraz „Piosenka”:

„(...) ulubiony mój pejzaż —
Horyzont, gdzie zastygłe ramiona wiatraków i biała Gromadka żagli...”

I dalej w tym samym utworze:
„Odkąd pamiętam, zawsze ciągnęła mnie w swą toń Podskórna hydraulika tej krainy”

W „Piosence” zaś spotkamy „szminkowaną pannę jarzębinę” przy bocznej drodze i oiszyne wśród sitowia, a w wyobraźni poety — takie nieoczekiwane uogólnienia:

„Są błotne kwiaty dialektu
I nieśmiertelniki słuchu absolutnego,
I ta chwila, gdy śpiew ptaka jest prawie tożsamy
Z muzyką tego, co się dzieje”

I co się działo. Poeta pozostaje pod silnym wrażeniem odkryć, dokonanych w bagnach Jutlandii

W 1950 roku. W kilku miejscowościach odkopano tam zwłoki ludzkie, liczące około dwóch tysięcy lat, a doskonale zachowane dzięki chemicznym składnikom bagien i błot. Można było o nich czytać w naukowej publikacji i oglądać je podczas podróży do Danii. Heaney oglądał. Spędził sporo czasu nad ciałami ludzi bezlitosnie zamęczonych przed wiekami. Może ofiar mordów rytualnych albo grabieży może skazańców? Zresztą:

„Kto nazwie trupem
Ten odlew, w którym trwa życie?
Kto powie »zwłoki«
O tym niejasnym spoczynku?”

Widać było dokładnie, że zamordowany miał poderżnięte gardło („Człowiek z Graballe”).

Zagadkowe cmentarzysko jest nie tylko fenomenem przyrody, ale i dowodem na to, że u zarania dziejów Europy Północnej, w tym także Irlandii, panowały okrucieństwo i zbrodnia, podobnie jak w najnowszej historii Ulsteru. Rozmyślając o zbiorowej śmierci „wyrobników zabitych z zasadki” albo innych „nieobużytych ofiar”, poeta czuje się „zagubiony, nie-szczęśliwy, jak u siebie w domu” („Człowiek z Tollund”). Przez dwa tysiąclecia historia nie raczyła się zmienić.

W świecie tak naznaczonym piętnem zła trzeba się czegoś trzymać, przy czymś trwać. Przy wspomnieniach pracy ojca („Kopanie”), przy postaci matki, niosącej obiad żniwiarzom („Opowieść żony”)? Może jakoś pozostać własnie przy matce, z którą się oberało kartofle, która naciągała z synem zdjęte ze sznura prześcieradła? Może zapamiętać te dni bliskości, „Gdy rozkwitały wielkanoce święta/ Zwłaszcza wrzędy Wielkiego Tygodnia” i chłopak śpiewał razem z matką słowa psalmu: „Dniem i nocą żywy są moim chlebem”? No i te chwile, kiedy umierała. Chodzi o wiersz-poemat „Wolne miejsca”; brakuje odpowiednich słów, żeby nazwać wypowiedź tak pełną prawdy, miłości i bólu, a tak skromną w środkach ekspresji.

Piszę tutaj o okrucinach sztuki. O fragmentach utworów urzekających nateżeniem „słuchu absolutnego” o którym wspomina sam poeta. Do twórczości takiego wymiaru prowadziła niełatwa droga: „Blisko pięćdziesiąt lat życia trzeba mi było aż tyle, Żeby dać wiarę cudom (...) Tyle czasu trzeba było czekać Na tę jasność powietrza, to ośnienie, tę serca lekkość”

I to są ostatnie słowa tomu „44 wiersze”

PS. W przedostatnim felietonie napisałem: „Good save the king”. O jedno fatalne „o” za dużo. Przepraszam.

BALNEA VINA VENUS

Dziś 12 listopada (Rzymianie mówili: przeddzień idów listopadowych), mieszkańcy Miasta nad Tybrem udali się jak co dzień do łaźni. Myślę, że i my, zmęczeni atakującą nas ze wszystkich stron polityką, chętnie pójdziemy w ślady starożytnych, by się oczyścić i zmyć z siebie wszystkie te brudy, które ostatnio do nas przylęgły. W Rzymie kąpiel to nie tylko zabieg higieniczny, to wręcz rytuał zajmujący najcenniejszą część dnia, według naszej rachuby było to ok. godziny drugiej po południu, pora między wypelnianymi od rana obowiązkami a posiłkiem.

Pierwszym pomieszczeniem łaźni było apodyterium — szatnia, gdzie można było na biegnących wzdłuż ścian półkach zostawić swoje odzienie. Trzeba było jednak uważać, złodziei nie brakowało, a sytuacja gdy po wyjściu z kąpeli okazywało się, że nie ma już w co się ubrać, mogła należeć do kłopotliwych. Przezorni powierzyli swoje rzeczy specjalnie w tym celu zatrudnionemu w łaźni niewolnikowi (capsarius), który za niewielką opłatą wszystkiego pilnował, można było oczywiście przyjść z własnym niewolnikiem. Z apodyterium można się było udać do tepidarium, pomieszczenia ogrzanego, ale nie gorącego, ciało tu mogło przywyknąć do wyższej temperatury, jaka okazywała w kąpiele. Teraz dopiero przechodzono do caldarium, najgorętszego pomieszczenia — tu znajdował się basen z gorącą wodą, tu można było skorzystać z gorącego tuszu. Można było skorzystać z laconicum, pomieszczenia z suchym, gorącym powietrzem, można też było wejść i posiedzieć w łaźni parowej (sudationes). W każdej łaźni niezbędne było frigidarium, pomieszczenie dla chłodnych kąpeli, tu można było zajeżdżać na samym początku, by zmyć wstępnie kurz z ciała, niektórzy parokrotnie kursowali pomiędzy caldarium i frigidarium, zaryzykując przemienne kąpiele gorących i zimnych. Były łaźnie większe i mniejsze, skromne lub luksusowo wyposażone. Były łaźnie publiczne, dostępne za niewielką opłatą Właścicielem ich mogło być miasto, dzierżawiące je prywatnym przedsiębiorcom, byli też ich prywatni właściciele, czerpiący z tej działalności zysk. Były też oczywiście łaźnie prywatne, domowe. łaźnie były wszędzie, nie tylko w Rzymie i większych miasteczkach, a nawet w wioskach. Było ich bardzo dużo. Trudno się dziwić, że człowiek, który cały dzień ciężko pracował (na wsi czy w mieście), zły potem, pokrzyty kurzem, miał potrzebę codziennego, gruntownego umycia się od stóp do głów. Trzeba pamiętać, że starożytność nie znała praktycznie mydła i łaźnia parowa była niemal jedynym w tej sytuacji rozwiązaniem. Nie wszystkich było na to stać, by mieć tego typu urządzenie we własnym domu, czy ponosić koszty związane z codziennym ogrzewaniem łaźni (koszty opalu). Stąd też dość wcześnie (od III w. p.n.e.) zaczęły się pojawiać łaźnie publiczne, wznoszone, utrzymywane i kontrolowane przez państwo i jego urzędników. Żyjący i piszący w połowie I w. n.e. Seneka ze wzruszeniem pisze o tych najstarszych i jeszcze bardzo skromnych łaźniach publicznych: „Na bogów miłych! Jakże przyjemnie jest wchodzić do tych ciemnych i pokrytych zwykłymi tykami łaźni, o których wiesz, że edylem sprawdzającym tam własną ręką ciepłość kąpeli był już to Kato

już to Fabiusz Maksimus, już to któryś z Korneliuszów. Albowiem najslawniejsi edylowie dopelniali także i tego służbowego obowiązku, że odwiedzali miejsca gdzie się gromadził zazwyczaj lud i sprawdzali tam czystość, ustalając zarazem korzystną i zbawiającą dla zdrowia ciepłość kąpeli”. Ilość łaźni w Rzymie stale rosła i gdy w I w. p.n.e. było ich 170, to w wieku IV już blisko tysiąc... Systematycznie, codziennie odwiedzały Rzymianie łaźnie nie tylko ze względów higienicznych, ówczesna medycyna traktowała kąpiele jako bardzo ważny sposób podtrzymywania zdrowia, a przy leczeniu niektórych chorób łaźnie miały być wręcz niezastąpione. Były łaźnie miejscem codziennych towarzyskich spotkań, wymiany myśli, kształtowania opinii, tu można było w palestrach coraz częściej towarzyszących łaźniom uprawiać sport, grać w piłkę czy inne gry ruchowe. łaźnie stawały się ważnym i coraz ważniejszym elementem szeroko pojętej kultury. Trudno się dziwić, że nie tylko ilość łaźni stale wzrastała, ale jednocześnie podnosił się ich standard, osiągając coraz częściej poziom luksusu. Szczytowym osiągnięciem w tym względzie były budowane od schyłku republiki termy. W okresie cesarstwa, począwszy od panowania Augusta, niemal każdy cesarz dodawał Rzymowi kolejną budowlę tego typu, coraz większą i coraz wspanialszą. Były termy wznoszone i w innych miastach imperium, stając się nieodłącznym elementem ich zabudowy. Były to budowle często gigantycznych wręcz rozmiarów — jeśli termy Tytusa były jeszcze stosunkowo „skromne” (102x105 m, to już termy Trajana miały rozmiary 315x330 m (10,3 ha), termy Karakalli rozciągały się na powierzchni 11 ha, a największe Dioklecjana zajmowały aż 14 hektarów i mogły jednocześnie pomieścić i obsłużyć 3 tysiące osób. Termy były to całe kompleksy łączące funkcje kąpieliska, miejsca ćwiczeń fizycznych i zawodów sportowych, a także instytucji kulturalnych. Znajdowały się tu biblioteki, pomieszczenia, gdzie autorzy czytali swoje utwory, miejsca gdzie można było toczyć dyskusje na najróżniejsze tematy. Nie brakowało też zieleni, części niejako parkowych, gdzie w cieniu drzew czy też ochraniających od słońca portyków, wśród milego szmeru fontann, patrząc na rozstawione tu i ówdzie piękne rzeźby można było po prostu odpocząć. Oczywiście znajdowały się tu również rozmaite sklepiki i kramy, gdzie można było kupić wszystko, co było potrzebne do kąpeli czy uprawiania sportu, a także można było zaspokoić głód w licznych „bufetach”. Można było w termach spędzić cały dzień nie nudząc się i nie głodując. Trudno się dziwić, że budziły one prawdziwy zachwyt Satyrki Marcialis pisał, że nie było gorszego człowieka niż Neron i nie było lepszej rzeczy niż jego termy.

Wszyscy zapewne pamiętają trochę już przestarzałe hasło, definiujące ideał życia konsumpcyjnego w trójczłonowej formule: „wino, kobiety i śpiew”. W Rzymie podobną rolę pełnił popularny wierszyk „Balnea, vina, Venus” (łaźnie, wino, miłość). Nie ma sensu rozważanie wyższości kąpeli nad śpiewem, nie ulega jednak wątpliwości, że nie mógł być zły świat, w którym codzienne uczęszczanie do łaźni było niezbywalnym elementem kultury, a przyjemność kąpeli stanowiła ważny element idealnego szczęśliwego życia.

Z „GŁOSEM” PO STOLICY

WILGOTNY I MGLISTY PORANEK

Ci, którzy ocaleli, zapamiętali, że ranek dnia czwartego listopada był wyjątkowo wilgotny i mglisty. W Warszawie wciąż trwała kościuszkowska insurekcja, pierwsze polskie powstanie zbrojne, podjęte w imię odzyskania świeżo utraczonej niepodległości. Czwartego listopada roku 1794 o godzinie piątej nad ranem, na pograżoną w głębokim śnie Pragę spadł grad kul. Znad Wisły, z zaułków Grochowa, Targówka i Bródna padły pierwsze strzały, zaś w chwilę potem rozpoczęła się zmasowany atak artyleryjski. Nieprzerwana kanonada trwała ponad cztery godziny. Uzbrojone po zęby rosyjskie wojska dowodzone przez feldmarszałka Aleksandra Suworowa zajęły Pragę. Zaskoczeni, wyrwani ze snu ludzie, nie mieli żadnych szans na podjęcie obrony, nie zdążyli nawet o niej pomyśleć, nie mogli stanąć na szanach. Przewaga przeciwnika była ogromna, a sposób prowadzenia walki wyjątkowo okrutny. Żołnierze podkładali ogień pod domy, zabijali kobiety i dzieci, poddawali torturom starców. Działali w idealnej zgodzie z rozkazem swojego dowódcy, który polecił im, by „pohulali sobie w laszej krwi”.

Tego dnia zginęło na Pradze ponad dwadzieścia tysięcy osób. Poległ także Jakub Jasiński,

jeden z najświetniejszych dowódców, którego nazwisko przeszło do historii i do legendy. Jego imię nosi dziś wiele polskich szkół. Tych, co przeżyli, a opór stawiali, siłą zawleczono na Sybir.

Zachwycony tak oszałamiającym „wycięstwem” feldmarszałek Suworow pisał w słynnym raporcie do carycy Katarzyny: „Na Pradze ulice i place zasłane były ciałami zabitych, krew lała się strumieniami. Zacerwienione wody Wisły niosły ciała tych, którzy szukając ratunku utonęli w jej nurtach. Widząc swą straszną hańbę zarządziła wiarołomna stolica”. Tenże Suworow wydając swoim żołnierzom rozkaz walki wręcz, miał powiedzieć: „Kula głupia — bagniet zuch...”

Za swe czyny, za „wierność i odwagę” Aleksander Suworow otrzymał z rąk imperatorowej najwyższe odznaczenia bojowe.

Tego samego dnia o godzinie dwudziestej udała się na Pragę delegacja Magistratu Warszawy, aby omówić warunki kapitulacji. Na miejsce przybyli ponad dwie godziny później (tak się wtedy po Warszawie podróżowało!). Po drodze zostali obłupieni ze wszystkich kosztowności, jeśli kto nieostrożnie wziął ze sobą zegarek albo

sygnet, albo i bransoletę jaką, to ją niechętnie utracił. Do Suworowa dostać się było trudno. Feldmarszałek stawiał rozmaite warunki, chcąc do cna upokorzyć miasto. Jego podwładni mówili, że Polacy na pewno się z nim porozumieją, gdyż jako człowiek znany powszechnie z wielkiego humanitaryzmu, pójdzie na wszystkie możliwe ustępstwa...

Kapitulacja została podpisana. Na mocy jej warunków wojska powstańcze opuściły miasto, Warszawę zajęli Rosjanie. Rozbrojono lud, tysiące poszły na Sybir. Zakończyło się jedno z najkrwawszych polskich powstań. Dziewiątego listopada 1794 roku wojska rosyjskie wkroczyły do miasta. Uformowane w paradnym szyku liczyły na powitanie. Ale nikt ich nie witał. Na głucho zatrzaśnięte były wszystkie okna i drzwi. Ludzie schronili się w domach, pusto było na warszawskich ulicach. A jeśli zdarzył się nawet jakiś przypadkowy przechodzień, to od parady zwycięzców z pogardą się odwracał.

Rosja na długie lata unicestwiła Polskę. Do Petersburga wywieziono Tadeusza Kościuszkę, Ignacego Potockiego, prezydenta miasta Ignacego Wyssogotę-Zakrzewskiego, zabrano łupy z muzeów i bibliotek, do Grodna z rozkazu Katarzyny wyjechał ostatni polski król, którego wielkości nigdy nie umiano w Polsce docenić. Z Grodna Stanisław August wezwany został do Petersburga. Nie mógł odmówić. Podpisał wymuszoną abdykację, nie mógł być władcą nie istniejącego państwa. Trzy tygodnie jechał do stolicy potężnego imperium przez bezdroża Rosji. W Petersburgu też życia dokonał. Zmarł w wielkim poniżeniu i w wielkim dostatku. Mówili i do dziś szepczą, że został otruty...

Dwudziestego października 1795 roku podpisany został układ o trzecim rozbiore Polski. Trzej zaborcy długo targowali się o podział łupu. Warszawa przypadła Prusakom. Mieli w niej pozostać przez najbliższe dwadzieścia lat

DANUTA SZMIT-ZAWIERUCHA